

Dekada Literacka

Kraków ■ 16 XI — 30 XI 1991 r. ■ Dwutygodnik ■ Nr 34 ■ Cena 2000 zł

- Rozmowa z Odojewskim ● Przekłady Barańczaka i Mroczkowskiego ●
● Baranowa o Gilbertie & George'u ● Opowiadanie E. Biskupa ●

To można było przewidzieć

Leszek Szaruga

Jerzemu Giedroycowi z okazji
przeznania Mu tytułu doktora
honoris causa Uniwersytetu
Jagiellońskiego

1. Słowa te napisane zostały niemal dwadzieścia lat temu: „Kongres Wiedeński był (...) godziną triumfu konserwatyzmu i polityki zachowawczej. Lecz dziś wiemy, że ów triumf przyspieszył wybuch ruchów narodowych i socjalnych. Tym razem będzie podobnie. Jestem pewien, że jeszcze wiek XX będzie świadkiem Wiosny Ludów nie tylko w Warszawie i w Pradze, lecz również w Kijowie i w Moskwie”. Dziś, gdy słowa te wcieliły się w naszą codzienność, nie umiemy sobie ich przypomnieć i powtarzamy w kółko, iż to, czego jesteśmy oto świadkami, jest czymś zdumiewającym, o czym wcześniej nawet marzyć nie było można. Powstają dziesiątki artykułów, rozpraw i uczonych ksiąg o tym, jak to rzeczywistość przekroczyła najbardziej wybujałą wyobraźnię.

Juliusz Mieroszewski z pewnością człowiekiem o przesadnie wybujałej wyobraźni nie był. Był za to uważnym obserwatorem przemian zachodzących na świecie i w Polsce. I aż dziwi, że dziś, gdy z zapalem wielkie zastępy publicystów i uczonych filologów przypominają dziedzictwo emigracji i na wszelkie możliwe sposoby odmieniają określenie „literatura źle obecna”, nikt jakoś nie kwapi się z przypomnieniem tego właśnie pisarza. A trzeba podkreślić z całą mocą, że jeśli w naszej literaturze politycznej ostatniego półwiecza zdarzył się nam autor rzeczywiście

najwyższego lotu, to był nim z całą pewnością właśnie Mieroszewski, który już u schyłku 1971 roku potrafił przewidzieć następującą sytuację: „Wydarzenia grudniowe, które doprowadziły do upadku Gomułki — stanowiły premierę wielkoprzemysłowej klasy robotniczej w Polsce. Zgodnie z prawidłowościami rozwojowymi — to był początek serii strajków, które wybuchną w niedalekiej przyszłości. Wielkoprzemysłowa klasa robotnicza w Polsce będzie domagać się nie tylko poprawy warunków bytowych, lecz przede wszystkim niezależnych związków zawodowych”. Przy czym — dodajmy tutaj — owe „prawidłowości rozwojowe”, o których pisze autor „Politycznych neuroz”, to nie jakieś wydumane przy biurku marksisty „prawa historyczne”, lecz po prostu zjawiska, które można było obserwować w rozwoju ruchu robotniczego na Zachodzie. Mieroszewski z pewnością wyrósł z tradycji socjalistycznej, jednocześnie też z całą pewnością nie związał się z żadną zdogmatyzowaną ideologią.

Czy był socjalistą? Można go zapewne tym mianem określać, choć rozsądniej byłoby — odrzucając to „spalone” na razie w polskim życiu politycznym słowo — nazwać go pisarzem szczególnie wrażliwym na realizację zasad zmierzających do zapewnienia człowiekowi godziwego korzystania z efektów własnej pracy. Słusznie zauważał: „Doptaca się do różnych przemysłów z różnych przyczyn. Jedną z tych przyczyn winien być również wzgląd na ludzi. Ponieważ gospodarka to nie jest eksport i bilans płatniczy, lecz — przede wszystkim — ludzie. Zwolennicy go-

spodarki kapitalistycznej winni sobie zdać wreszcie sprawę z faktu, że kapitalizm — jeśli ma być obalony — nie obalą deficyty, kryzysy czy inflacje — tylko ludzie. (...) Ludzie ważniejsi są od jakiegokolwiek ideologii czy doktryny. Politycy, którzy o tym zapominają — pogłębiają wyobcowanie współczesnego człowieka, który żyje na cmentarzu ideologii i dogmatów”. Myślę, że te słowa można z powodzeniem dedykować większości obecnie w Polsce działających polityków i ekonomistów, by ich skądinąd złoźne wysiłki zmierzające do odbudowy kapitalizmu zakorzeniły w tym, z czego wyrósł: w dążeniach, które w roku 1980 przyswiecały strajkującym robotnikom. Te dążenia w sposób stanowczy potwierdzały też słowa Mieroszewskiego, że „przeżyjemy światowy kryzys ustrojowy. Wszystkie współczesne ustroje są anachroniczne i niezdołne do rozwiązania podstawowych zagadnień”. Pierwszym sygnałem potwierdzającym tę tezę były wydarzenia roku 1988, które wybuchły nie tylko w Europie w rok po wydaniu książki zawierającej cytowane przed chwilą zdania.

2. Juliusz Mieroszewski urodził się 3 lutego 1906 roku. Zmarł w Londynie w przededniu ukształtowania się w Polsce zrębów opozycji demokratycznej, w czerwcu 1978. Cztery lata przed śmiercią sformułował coś w rodzaju dyrektywy, która już niedługo miała stać się zasadą działania w Polsce: „Solidarność wszystkich, którzy zdobywają chleb i dobrobyt jako najemnicy — powoła roślinie. W tym pro-

cesie, który ledwo się rozpoczął — tkwi załóżek nowego społeczeństwa”. Nie trzeba chyba dodawać, że właśnie owa solidarność najemników — ukonstytuowana w polskiej „Solidarności” lat 1980—89 — stała się tym, co zdumiało i zachwyciło świat współczesny. Jak zauważył bowiem niezwykle wnikliwy komentator wydarzeń polskich, Timothy Garton Ash: „Zaden inny ruch na świecie nie był popierany jednocześnie przez prez. Reagana i eurokomunistę Carillo, Berlingueta i Papieża, Margaret Thatcher i Tony Benn, działaczy pokojowych i rzeźników NATO, chrześcijan i komunistów, konserwatystów, liberałów i socjalistów. Jakiż to wstyd dla zachodnio-niemieckich działaczy pokojowych znaleźć się po tej samej stronie co Reagan! Jakiż niezręczność dla włoskich chrześcijańskich demokratów popierać tych samych ludzi, których popierają komuniści. Jakże trudno było konserwatystom zajmować tę samą płaszczyznę co związkowcy!”. Ale — dodajmy — tak właśnie przecieżyło. I zapewne wielu z tych, którzy się w poparcie „Solidarności” zaangażowali, wierzyło w to, że jest ona sygnałem zapowiadającym coś nowego dla wszystkich. I nie jest wykluczone — mimo późniejszych doświadczeń — że jest nim w istocie.

Powtórzmy: „Ludzie są ważniejsi od jakiegokolwiek ideologii czy doktryny”. Te słowa Mieroszewskiego stanowią bodaj najbardziej wyraziste credo jego pisaństwa. Dlatego też, choć w większości publikowanych szkiców zajmował się Polską i perspektywą odzyska-

(C.D. na str. 5)

Notatka ze schronu

Ante Stamać

ANTE STAMAĆ — poeta, krytyk, historyk i teoretyk literatury, wykładowca na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu w Zagrzebiu.

Rzeczywistość zapędziła nas do schronu. Śmiercionośne samoloty, pociski, rakiety, ponure detonacje dochodzące z oddali i głośnie eksplozje tuż obok, snajperzy, płatne zdiury maszynowej śmierci, oto n sza codzienność. Pozostać na miejscu, równa się być trafionym. Wier się nicht bewegt — j-k głosi niemiecki slogan bankowy. Trzeba więc niestannie zmienić pozycję, „kierować się do schronów”.

Zylem w kilku z nich i spędziłem tam wystarczającą ilość godzin. Płenki, przestronny garaż pod „Zagrebčanką” przypomina korytarz. Spotkałem nieco znajomych, jedną z pań zaprosiłem na kawę. Jest to rzeczywiście superobiekt, miejsce pracy zagrzebskich prominentów. Natomiast pod Gričem w schronie gnieździ się półświata, przypadkowi przechodnie, uciekinierzy, ludzie z ulicy. Cztery godziny tam spędziłem w towarzystwie

znanego językoznawcy i sympatycznego aktora.

Najlepiej wszakże jest na moim Wydziale, choć nie można powiedzieć, by nasza „Filozofia” była zbyt dobrze zabarykadowana. Podziemia są bardzo nieszczelne, ale przynajmniej bufet działa; nie wolno wprawdzie palić, ale można wypić kawę lub sok. W gronie paru kolegów dyskutuję o problemach naukowych. Zszedłem tu wraz z moimi studentami. Podziwiam tych, którzy teraz zdają egzaminy, bo wyglądają to mniej więcej tak: pytam i w samym środku zmuszony jestem przerwać, bo na dźwięk alarmu wraz z koleżanką biegniemy do podziemi. Potem wracamy i egzaminujemy dalej. Studenci otrzymują oceny głównie za przebyty strach; i oto znowu alarm, znowu bieg i powrót do przerwanych zajęć.

Najbardziej uciążliwie, ale i najlepiej jest w nocy. Na Ksaverze. Zna-

komie wyposażone schrony, ludzie zdyscyplinowani. Obrona cywilna i służba porządkowa na wysokim poziomie, uprzejmi, przytomni i dokładni. Dzieci — ciekawe — okazują całą gamę nastrojów: od przestachu do radości; patrzą wokół szeroko otwartymi oczyma. Odkrywają rzeczywistość i tych, którzy już teraz stanowią dla nich zagrożenie. Spokojni mężczyźni o wyglądzie inteligentów, panie z towarzystwa. Tak oto przedstawiałby się krótki reporterski opis poety, który jest kiepskim dziennikarzem.

Dostojewski i okropności

Byliśmy przerażeni, gdyśmy czytali Notatki z podziemia F.M. Dostojewskiego, czy też Zapiski z martwego domu. Literatura pośredniczyła w przekazywaniu faktycznych stosunków międzyludzkich. Teraz je przeżywamy na własnej skórze, okropne, niebezpieczne i poniżające rodzą ludzki. Myślę o urzędzie generała. O czym ten typ rozmyśla, gdy zwraca się do swych podwładnych, a ci z kolei do wykonawców tych zarządzeń. Sieją śmierć i powiadają, że „wykonują swoją pracę”. Wojna jest dla nich pracą, a ludzkie życie to wióry na zheblowanej powierzchni świata.

A ludzie coraz częściej mówią „Bydło!”, „Zwierzęta!”, „Bestie!” I zaraz się u kogoś pojawiają mechanizmy obronne i zaraz w człowieku budzi się przyjaćiel Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. „Zwierzę” zwraca się do mnie taksówkarz, biorąc mnie za podejznanego (bo myśli, że jestem potencjalnym snajperem), „zwierzę” — powiada — napada krwiożerczo, a gdy się nasyci, kładzie się i zasypia. Zwierzęciu jest potrzebna ofiara, by mogło utrzymać się przy życiu.

Czy znaczy to, że Serbowi potrzebna jest cudza śmierć, by mogli przetrwać? Czy też on, będąc takim samym człowiekiem jak ja, nosi w sobie nienasyconą żądzę zabijania? Prawdopodobnie dlatego wybiera zawody, które mu to umożliwiają. Żołnierz, policjant, tajniak, tyran, obieżyświat, płatny morderca. Rzeczywiście pięknie zajęcia! Perspektywy na przyszłość! W ten sposób buduje on lepszy świat. Jest niczym, a pragnie być wszystkim. Pomógł mu w tym komunizm ze swoim kłamstwem o Międzynarodówce. „Jesteśmy niczym, będziemy wszystkim!”, „Całą przeszłość wykreślił raz na zawsze!”.

Miasta chorwackie zburzone. Vukovar w chorwackiej historii dorówna Sigetowi. Przejdzie do mitologii jako archetyp obrony. Chorwacki Sedan, rosyjski Stalingrad. Osijek, piękny secesyjny Osijek, zniszczony. Varaždin! Przecieży chyba nie jest i to Serbia! Knin, chorwackie miasto pełne chmurnych ludzi. Petrinja się nie poddaje. Vinkovce, szlachetne Vinkovce! Rene-

(C.D. na str. 4)

Byt i niebyt w „Literackiej Galicji”

(Eine kleine Polemik)

Stanisław Balbus

Wobec panującego w naszym życiu literackim marazmu — na łamach „Dekady Literackiej” miłogo słabo coś, co przy nadmiarze wyobraźni można by nazwać namiastką polemiki, by uniknąć nieeleganckiego słowa „zaczepki”. Zapłonem tego literackiego wydarzenia stała się wydana po angielsku w maju, z okazji konferencji KBWE książeczka pod zabawnie ironicznym tytułem *Literary Galicia. From post-war to post-modern*. Autorami jej są dwaj dwudziestoparoletni chłopcy z Klubu Młodych Pisarzy przy krakowskim oddziale SPP, Adam Michałowski i Waldemar Paclawski. Dodam, że książkę tę udało im się przygotować i wydać dokładnie w ciągu pięciu miesięcy od momentu narodzin pomysłu, czego jako żywo nie dokonał na przestrzeni 35 lat okresu „post-war” wien z „doświadczonych” pisarzy. Wielu za to doświadczonej i godnych krakowskich pisarzy żywi do realizacji tego przedsięwzięcia nieugaszone pretensje.

Głównym powodem tych pretensji jest — jak zazwyczaj w podobnych przypadkach — kwestia: kogo „uwzględniono”, a kogo „nie uwzględniono”. Zastanawiającą konsekwencję wykazuje w tym względzie na łamach „Dekady” uparty polemista etykietujący się literkami el., bolejąc w ogóle nad faktem zaistnienia „nieszczęsnego” — jak powiada — *Literary Galicia*.

W głębszej atoli strukturze owych zaczepki i ostrych cenzurek tkwi inna jeszcze kwestia z gruntu ontologiczna. Toczy się tam metafizyczny wręcz spór o fakt istnienia kiedykolwiek w krakowskim życiu literackim zjawisk (fenomenów) o nazwach własnych (nomena propria): „Władysław Machejka”, „Tadeusz Hołuj”, „Adam Polewka”. Otóż nieprzejednanym zdaniem Pana el. zjawisk takich nigdy przynigdy w literaturze nie było. Umieszczając przeto w *Literary Galicia* wywiady z nazwanymi w ten sposób postaciami, autorzy dopuścili się nadużycia, które nazwijmy surowo i uczenie przestępstwem realizacji hipostazy.

W sprawę włączył się marginalnie Pan hm. oraz Henryk Markiewicz (oba twierdzący dość zdecydowanie, że zjawiska takie jak „Polewka” jednak istniały, i to jak jeszcze), oraz następnie Leszek Elektorowicz, biorąc stronę Pana el. i przecząc stanowczo tak niemyślnym ontologicznym insynuacjom. Pan el. w „Camera obscura” w 31. numerze *Dekady Literackiej* zdaje się iść co prawda na pewien kompromis, dopuszczając owo istnienie jako takie: „...odgrywali dużą rolę” — podejmuje ironicznie zdanie Pana hm. „Była to jednak — kontynuując bezwzględnie — rola aparatczyków raczej niż pisarzy; idąc tym tropem należałoby zatem pomieścić [w *Literary Galicia*] sylwetki pierwszych sekretarzy i kierowników Wydz. Kultury KW PZPR”.

No dobrze. Zgadza się, że „była to rola aparatczyków” i Polewka z Machejkiem winni zostać „uwzględnieni” raczej w książce pt. np. *Aparatczykowska Galicja* (wydanej po rosyjsku). Ale mam pytanie, co wobec tego począć z najbliższymi współpracownikami Machejki, którzy pod jego

aparatczykowską egidą kierowali swego czasu resortami Machejkowskiego folwarku literackiego zwanego „Życiem Literackim”, że nie wspomnę już o rzeszy współpracowników dorywczych, eseistów i recenzentów, do których zresztą — nie wiem jak Pan el. — ale ja w każdym razie długie lata należałem, w nie najgorszym skądinąd będąc towarzystwie? Znam do tej pory paru byłych redaktorów działów „Życia Literackiego” (i nawet z niektórymi się przyjaźnię), którzy swego czasu stanowili ścisłą „ekipę Machejki” na jego literackim folwarku, by nie rzec: jego prawe ręce (Machejek odznaczał się tym, że miał kilka prawych rąk i jedną lewą; dziś, zdaje się, wszystkie mu pousychały, jak te gałęzie na pochylonym drzewie, by sięgnąć po Machejkowską próbkę stylu). Więc co? Dziś wszyscy ludzie tej byłej ekipy to także aparatczycy na poziomie wyższych urzędników KW PZPR? — Doprawdy pełen dziwnych pułapek jest wywód Pana el.

Za tymi zabawnymi wywodami kryje się atoli parę spraw nader poważnych. Dlatego zdecydowałem się napisać to, co właśnie piszę. Pierwsza wiąże się bezpośrednio z „nieszczęsną” *Literary Galicia*. Każdemu, kto przeczytał choćby (ale uważnie!) „Spis treści” książeczki Michałowska i Paclawskiego, łatwo zauważyć, że gdy chodzi o dobór nazwisk jej bohaterów, jest ona w szczególności — młodzieńczo jednoznaczny — sposób spolaryzowana: jest biegun „niezłomnych” i „czystych” (np. Filipowicz, Szczepański, Malewska), którzy nigdy nie poddali się działaniu jądów komunizmu; i jest biegun — mówiąc językiem Aleksandra Wata — „diabelski”, biegun trucieli i w pełni zatrutych. I jest jeszcze czyściec „porządnych kompromisowców” oraz „rychło nawróconych”. Pan el. powinien wiedzieć, choćby z niedzielnych kazań, że aby miał sens raż, trzeba pokazać piekło. Czego zresztą uczy też Dante Alighieri.

Strą selekcję bohaterów (33 postaci na, wg mego rachunku, przeszło 300 pisarzy działających po wojnie w Krakowie; w momencie rozwiązania ZLP liczył 140 członków w oddziale krakowskim) dyktowały proste i oczywiste względy formalne (nie jest to przecież w najmniejszej mierze encyklopedia powojennego literackiego Krakowa, ta musiałaby mieć parę tomów). Prawda, żal, że nie ma tu np. Jana Wiktora, Mariana Prońskiego czy Leszka Elektorowicza, ale nie ma też np. ani Aleksandra Krawczuka, ani Juliana Kawalca, ani Ryszarda Kłysa. Dwudziestopięcioletni autorzy wybrali sobie po prostu tych, którzy z ich perspektywy wydali im się najbardziej charakterystyczni, barwni, niezwykli, frapujący, zdumiewający, typowi, lub po prostu tych, których znali osobiście. Jest to ich książka.

Książka ma liczne błędy, potknięcia, niedopatrzenia? Och, ma! Bardzo liczne. Znacznie liczniejsze niż sądzi Pan el. w oparciu o ze złą wolą przeczytany spis treści. Wiem o tym, bo jako opiekun Klubów Młodych przy krakow-

(C.D. na str. 11)

„PROMOTOROWI” W ODPOWIEDZI

Leszek Elektorowicz

A już myślałem, że nie będę musiał wracać do sprawy *Literary Galicia!* Sądziłem, że krótka notka w *Camera Obscura* wystarczy, aby oddać sprawiedliwość nieudanej książeczce, którą (na szczęście) mało kto z polskich czytelników zna, zwłaszcza że wydana została w języku angielskim. Tymczasem zmusza mnie do zajęcia się tym nużącym tematem „promotor” (jak sam siebie określa) tego „przedsięwzięcia” młodocianych autorów, Stanisław Balbus. Otóż i to. Uderz w stół, a nożyce się odezwią. A odezwały się one dość nieprzyjemnym, a co gorsza, fałszywym tonem w tekście niespójnym, często sprzecznym wewnętrznie.

Bo oto na początku pisze Stanisław Balbus, że książka wydana została „z okazji konferencji KBWE”, a dalej, że jest to „ich książka” napisana z „osobistych pobudek”. Czy zatem miał to być rodzaj informacyjnej „book of reference”, na co wskazuje w podtytuł słowo „guide” (przewodnik), a wtedy wymaga się rzetelności i wiarygodności, czy autorska wprawka „z perspektywy” dwóch „dwudziestoparoletnich chłopców” (słowa S.B.), pozwalająca na różne harce, nawet tak niestosowne jak owa słabo dowcipna anegdota o „Profesorze”? Myślę, że jednak chodzić tu miało o informacje dla przybywających na KBWE obco-krajowców. Poszły na to różne dotacje, m. in. z Zarządu Miasta. Z informacją zaś jest tak, że lepsza żadna niż żła. A skoro sam „promotor” widzi w publikacji „bardzo liczne” błędy (zapewne nie tylko — horrendalne nieraz — drukarskie i językowe), których rzekomo ja nie dostrzegłem (dostrzegłem, dostrzegłem, ale nie pisałem przeciw recenzji o książce, bo uważałem, że nie warto) — znaczy to, że cała edycja jest chybiona. Tempo opracowania i wydruku książki (5 miesięcy), czym tak szczyli się jej „promotor”, nie zawsze bywa zaletą. Historykowi literatury znane są chyba liczne przypadki wskazujące na odwrotną prawidłowość. Lepiej więc było dłużej poprawować lub zmienić koncepcję, a dać uczestnikom KBWE bardziej wiarygodny materiał.

Po drugie: mój „uparty polemista” tłumaczy młodocianych autorów ich nieznanymi sprawami i pisarzy (oraz ich książek). Z wyjątkiem osobistych znajomych. Zatem dlaczego — na Boga! — podjęli temat, na którym się nie znają? I to w informacyjnym „przewodniku”. Źródła ich inspiracji dopatruje się Stanisław Balbus — w wydanych w r. 1974 i 1981 (a zredagowanych znacznie wcześniej) peerelowskich encyklopediach i słownikach, w których ilość linijek poświęcona danemu hasłu osobowemu zależała ściśle od polityczno-partyjnej, a nie literackiej, hierarchii ważności. Dlatego — co Balbus skrzętnie wylicza — Machejkowi poświęcono dwa razy tyle miejsca, co Otwinowskiemu, a gdzie indziej tyleż, ile Malewskiemu. Te ówczesne kryteria winny być znane nawet młodym, przeciętnie inteligentnym „chłopcom”, a tym bardziej ich „promotorowi”. W rezultacie, jak widać, przyjęli oni z całą naiwnością peerelowskie preferencje wyboru.

Następna sprawa: Władysław Mache-

jek etc. Aparatczyk czy pisarz? Balbus sam odpowiada, że aparatczyk, ale szerszej wypowiedzi się na ten temat w swym eseju w *Literary Galicia*, pt. (w przekładzie) „Wielkie milczenie czarnej dziury” (Literatura w obliczu komunizmu). Przytoczmy niektóre jego sformułowania w dosłownym przekładzie: „Komunizm dla niego był doktryną, która dała mu władzę. Machejek nie miał krztyny (dosł. uncji) talentu i właśnie dlatego spłodził — i nadal płodzi (czyżby? — dop. L.E.) — niewiarygodną ilość książek. Oczywiście, że gdyby nie jego powiązania z przywódcami komunistycznymi, nie wydałby nigdy choćby jednej z nich. W najlepszym wypadku mógłby być sześciornym pisarzem”. Dalej pisze Balbus o „fantastycznej” grafomanii Machejki i jego zaciekłym (zealous) antysemityzmie. (s. 46)

Oto argumenty na obronę faktu, że Machejek był w literaturze. A tak. Był. W taki właśnie sposób, w jaki Stanisław Balbus go określił. I jeszcze „był” jako redaktor naczelny „Życia Literackiego”, ale nie z racji swych talentów, tylko dzięki rekomendacji partii, w której głębokich strukturach tkwił po uszy. Tu jednak adwersarz mój dokonuje niedopuszczalnego zabiegu stawiając znak równości pomiędzy „Życiem Literackim” a Machejkiem. W swym erytycznym zapale zacierza fakt, że jeśli w latach październikowych i popaździernikowych „Życie Literackie” było dobrym piśmie (a było!), to raczej pomimo Machejki jako nadzorca politycznego, który na jakiś czas nieco spokorniał, niż dzięki niemu. Zastąpił (a zapewne i część błędów) przypadały zespolowi, który pismo redagował. Radykalnie zmieniło się to po 1968 roku. Mam prawo wypowiedzieć się na ten temat, bowiem po okresie dobrowolnego milczenia w latach stalinowskiego socrealizmu podjąłem w 1957 r. pracę w „ZL”, co prawda zawsze będąc w nim outsiderem (nie powierzono mi nigdy funkcji redaktora, bo mi nie ufano), byłem wręcz czarną owcą, osobnikiem przez naczelnego podejrzany, zajmującym się literaturą „zgnitego Zachodu”, zawsze mocno cenzurowanym wewnętrznie i zewnętrznie. Wreszcie, po długotrwałej, jawnej opozycji wobec moczarskiej linii redakcyjnej Machejki zostałem przezeń wyrzucony. Rozmaicie więc wyglądała praca w kolegium „ZL”. Owszem, istniał i ścisły zespół bardziej związany z osobą naczelnego redaktora i zapewne bardziej odpowiedzialny. Piszę o tym (a mógłbym nieporównanie więcej; na życzenie — służę), aby skontrolować niesłychane wprost określenie przez Stanisława Balbusa redakcji „Życia Literackiego” (w domniemaniu — całej) jako „aparatczykowska”. Stosując znany chwyt sofistyczny „mutatio controversiae” (zmiana przedmiotu sporu), pakuje on do jednego worka wszystkich, nawet „dorywczych” współpracowników”, choć więc dobrze i widział wówczas z bliska, jak sprawy wyglądały. Wie również, że „Życie Literackie” było przez dziesięciolecie jednym piśmie literackim w Krakowie. W pro-

(C.D. na str. 10)

Co nowego w prasie?

Publicystyka na temat młodzieży, jej postaw, jej kultury etc. tradycyjnie ma ton bolesny i pesymistyczny. Chyba że chodzi o udział w pielgrzymkach... Warto więc zwrócić uwagę na artykuł Mirosława Pęczaka pt. „Młoda Polska postpenitencjarna” w DIALOGU (nr

8.). Optykę autora charakteryzuje stwierdzenie: Młodzież inaczej będzie definiować rzeczywistość społeczną, niekoniecznie w kategoriach wypracowanych przez spór dawnej opozycji z dawną władzą. Istotnie, chyba niewiele „starszych” rozumie, że dla młodzieży na progu dojrzałości

dramaty sprzed 10 lat to historia równie martwa jak powstanie styczniowe. Pęczak nie piętnuje więc „bezieowości” młodzieży ani też przejawianych przez niektóre grupy postaw agresywnie kontestacyjnych, antyklerykalnych itp. Stara się je racjonalizować. Szkicuje też scenariusz niedalekiej przyszłości: Ta najbardziej reprezentowana grupa młodzieży, politycznie nieokreślona, nieskłonna iść na barykady, ale też nie przywiązana nadaremnie do tradycji, ta większość doceniająca konsumpcjonizm Zachodu i sprawność zachodnich fachowców wyłoni spośród siebie tak oczekiwaną klasę średnią i stworzy podstawy nowej kultury dominującej, kultury skomercjalizowanej i stopniowo zwananej. Tradycji zaś bronić będą dzisiejsi, trochę

operetkowi konserwatyści a nowe idee tworzyć będą niepoprawni marzyciele. I w takiej sytuacji podział lewica-prawica odnajdzie może swój nowy sens, ponieważ oprze się na sporze o wartości.

Z powyższym artykułem koresponduje ostatni (9.) numer ZNAKU, poświęcony problematyce wychowania. Wśród kilkunastu tekstów (m. in. Bergsona i Maritain’a) w większości teoretyzujących i wysoce intelektualnych, artykuł Anny Radziwiłł „O etosie nauczyciela” zwraca uwagę tonem hic et nunc. Wśród zawartych w nim uwag o roli i powinnościach nauczyciela wyróżnia się następująca: Można spotkać się z opinią, iż podstawowym obowiązkiem i celem nauczyciela jest całkowite ukształtowanie umy-

słowej i duchowej osobowości uczniów. Tego typu sformułowanie budzi mój zasadniczy sprzeciw (...). To wychowanie kształtuje swoją osobowość, a ja mu tylko pomagam. Dalej autorka próbuje odpowiedzieć na pytanie, co to znaczy dzisiaj nauczyciel niezależny, co znaczy: być współdecydującym, współwłaścicielem i współtwórcą szkoły? Odpowiedzi sprowadzają się do przypomnienia „myśli paru, co nienowe”, ale też chyba nieczęsto obecne w modnej dziś retoryce: dotrzymanie pewnych norm, nieskazitelne wywiązywanie się z obowiązków służbowych, sztuka mądrego kompromisu, umiejętność współżycia z ludźmi; Myślę także, że trzeba być suwerennym w swoim sprzeciwie.

J.L.

Na skraju katastrofy

Z WŁODZIMIERZEM ODOJEWSKIM rozmawia Bogdan Rogatko

BOGDAN ROGATKO: Od wielu lat jest Pan czujnym obserwatorem polskiego życia kulturalnego. Obecnie przeżywamy w kraju wielkie zawrośnięcie wartości, bo trudno chyba to, co się dzieje, nazwać procesem przewartościowania. Zbyt wiele w tym wszystkim chaosu. Czy zdaniem Pana ta postępująca degrengolada kultury, a więc wypieranie twórczości ambitnej przez sztukę rozrywkową, a nawet „sztukę” schlebającą wręcz najbardziej prymitywnym gustom, co najlepiej widać w księgarniach i kinach, była zjawiskiem nieuniknionym, czy też osoby odpowiedzialne w naszym państwie za kulturę popełniły jakiś błąd, coś przeoczyły, czegoś nie przewidziały?

WŁODZIMIERZ ODOJEWSKI: Odpowiadając na to, muszę chyba zacząć od przypomnienia zwrotu-hasła: „Wychowanie społeczeństwa”. Ten zwrot w komunizmie się skompromitował, dziś mówi się o nim ze śmiechem. Ale przecież o potrzebie wychowywania społeczeństwa, to znaczy o podnoszeniu jego poziomu kulturalnego, mówili pisarze już wcześniej, jak Dąbrowska, Zeromski, Wyspiański, Świętochowski, Prus, Sienkiewicz i wielu innych; tak możemy cofać się do wielkich romantyków, marzących, żeby społeczeństwo dojrzało do tego, by ich utwory mogły trafić pod strzechę. Komunizm te marzenia wpiął sobie na sztandary. Pomijam tu, że nieraz w ostatnich latach z tego „wychowywania społeczeństwa” powstawała groteska, na ogół jednak przez tanią książkę wpływało na czytelnictwo, przez druk klasyków obcych i swoich podnoszono poziom czytelników, tanie bilety do teatrów wpływały na frekwencję, a na scenie grano nie tylko agitki, i tak można by — jeżeli spojrzeć się na dziesięciolecie wstecz bez zacieńczenia — wskazać wiele dobrych stron tak zwanej polityki kulturalnej. Polityka kulturalna, proszę pana, nie jest wcale wynalazkiem komunistów. Elementy różnie zakrojonej polityki kulturalnej znajdzie pan w każdym z krajów zachodniej Europy. Im zresztą kraj bogatszy, tym tych elementów jest więcej, tym sterowanie pewnymi procesami kulturotwórczymi i kulturalno-oświatowymi jest szersze i precyzyjniejsze. W modelu niemieckim (ten jest mi najlepiej znany) wygląda to mniej więcej tak (weźmy dla przykładu rynek wydawniczy): wydawnictwa nie muszą wprowadzić, ale mogą ze swymi projektami wydawniczymi zapoznać związkowe ministerstwa kultury i sztuki. W ten sposób uzyskuje się na wiele książkowych projektów coś w rodzaju not, które są następnie brane pod uwagę przez urząd finansowy. W ten sposób też wiele książek (w myśl polityki kulturalnej potrzebnych ze względów ogólnie kulturalnych, oświatowych, społecznych, religijnych czy innych) uzyskuje następnie zwolnienie częściowe, a nawet pełne od podatku. Są zresztą także książki, które nie tylko zwalnia się od podatku, ale z góry — z kleszczy ministerstwa lub różnych stowarzyszeń kulturalnych, czy fundacji — dofinansowuje. Nie muszę tłumaczyć, jaki to ma zasadniczy wpływ na cenę książki i na to, że trafia ona także „pod strzechę”. Zwolnienia podatkowego nie uzyska żaden „Sennik egipski”, żaden kryminał, żadne porno,

one muszą same się finansować. W taki czy inny sposób (bo nie tylko metodami fiskalnymi) zachęca się wydawców do publikowania przystępnie dobrej literatury, także różnymi pomocniczymi działaniami (o których długo można by mówić) zachęca się autorów do tworzenia takiej literatury. Podobnie jest w dziedzinie teatru, muzyki, sztuk plastycznych. Partie rządzące na Zachodzie zdają sobie sprawę z tego, że o potęgę państwa, o jego wysokim poziomie gospodarczym, dawno już nie decydują bicepsy, czyli tłumy mało myślących „robotników”; dziś na samym dole produkcji, na dawnym stanowisku robotniczym pracuje zazwyczaj wysoko wykwalifikowany specjalista. Na jego kwalifikacje w dużym stopniu ma wpływ jego poziom kulturalny, zakres jego wiedzy ogólnej, szerokość poglądów, zdolność refleksyjna, umysł wyćwiczony w myśleniu, w kojarzeniu i wyciąganiu wniosków. Partie rządzące na Zachodzie uważają, że inwestowanie w kulturę, przede wszystkim zaś przez takie czy inne pociągnięcia preferowania dzieł wyższego lotu i kierowanie w stronę tych dzieł zainteresowań konsumenta, opłaca się dla ogólnego dobra kraju. To tam nazywa się polityką kulturalną, a nawet jeżeli nie nazywa, to nią jest...

My natomiast wyrzuciliśmy politykę kulturalną, jako coś w spadku otrzymanego od komunizmu, za burzę. Wylewając, jak to się mówi, dziecko z kąpielą — bo i jej pozytywne elementy. Puściliśmy wszystko na żywioł rynku. Skrajny, głoszony i stosowany przez rządzących w Warszawie w kulturze i oświacie neoliberalizm (w tej postaci nie odważono by się go głosić ani stosować w żadnym kraju zachodnim) przyniesie, jak myślę, najtragiczniejsze owoce, bo likwidację kultury. Spadamy pośpiesznie gospodarzo do poziomu trzeciego świata, z gospodarczej zapaszi jednak państwa dźwigają się w ciągu jednego pokolenia (przykładem nie tylko Niemcy, także Austria, Włochy), straty natomiast w dziedzinie kultury, jako że są to straty także w świadomości ludzkiej, są dużo trudniejsze od odrobienia. Pyta pan, czy osoby odpowiedzialne za kulturę w naszym państwie popełniły jakiś błąd. Sądzę, że one nie popełniły błędów, one tylko wykazały bezsilność, bezradność, indolencję i tchórzostwo w wyciąganiu wniosków ze swej niemożności (bo skoro muru głową przebić nie można, powinny osoby te odejść). Błąd popełnił i dalej popełnia cały nasz nowy establishment, który wyszedł z opozycji solidarnościowej (a kiedy walczył z komunizmem, pełne miał usta troski o zagrożoną przez komunizm substancję kulturalną narodu) i teraz cynicznie od jej potrzeb się odwrócił, nie mając dość wyobraźni, aby dostrzec, jakim to niebezpieczeństwami dla państwa, dla społeczeństwa zaowocuje.

B.R.: Pan jako pisarz wybitny, ale pisarz polski, co szczególnie podkreślam nie bez przyczyny, znalazł się w podobnej sytuacji jak wielu Pana kolegów — w kraju i na emigracji. Wydawcy krajowi zabiegają o możliwość wydania książek, które do niedawna skazane były na drugi obieg, ale nie spotykają się one z wielkim zainteresowaniem czytelników. Co Pan o tym sądzi?

W.O.: Nie sądzę, że dawne książki

drugoobiegowe (a do nich zaliczam również te, które ukazały się wcześniej na emigracji) nie wzbudzają już żywszego zainteresowania czytelników. Oczywiście, wygodzony rynek został do pewnego stopnia nasycony, może nawet przesycony tą potężną dawką, ale wciąż są kupowane. Myślę, że czytelnik znacznie czyta teraz bardziej selektywnie. Przecież nie wszystko, co ukazuje się ze stemplem podziemia i emigracji, musi być od razu znakomite. Jeżeli weźmie się pod uwagę tę straszliwą biedę, jaka w Polsce teraz się zaczyna i niemałe ceny książek, to mnie i tak zdumiewa, ilu ludzi kupuje książki. Przecież płacić za nie trzeba nieraz ograniczeniami potrzeb zupełnie podstawowych...

B.R.: Czy podczas stanu wojennego i w latach następnym nie ulegliśmy złudzeniu, wynikającemu w jakiejś mierze z optyki getta, czyli optyki ograniczonej życiem w konspiracji i na emigracji? Mówiąc inaczej: Czy po prostu nie przeceniliśmy i nie idealizowaliśmy naszego społeczeństwa, które nieczym szczególnym nie różni się od innych społeczeństw żyjących pod koniec XX wieku?

W.O.: Trudno jest mi ocenić, jakim jesteśmy społeczeństwem, skoro nie przebywałem w jego otoczeniu już dwadzieścia lat. Moje dzisiejsze przyjazdy to odwiedziny starszego wujka, a wujkowi, zwłaszcza zaś starszemu, nie wszystko się pokazuje i opowiada. Powiem panu szczerze, przed laty, kiedy spotykałem się tylko z pewnymi określonymi kategoriami Polaków przyjeżdżających na Zachód, a więc typem emigracyjnym, przemycającym bibułę, książki i... myśli, oczywiście, albo z wyciśniętymi przez reżim na emigrację działaczami „Solidarności”, to sądząc po ich zainteresowaniach, wiedzy, aspiracjach osobistych, żarze wewnętrznym, byłem przekonany, że jesteśmy społeczeństwem... lepszym. Dziś z tego przekonania niewiele pozostało. Pewnie jesteśmy społeczeństwem zróżnicowanym jak każde inne i jak każde inne posiadającym swe szczyty i bagniste doliny. Ale jednak obserwując to dzikie, zachłanne i bezkrytyczne zachłyśnięcie się Polaków Zachodem i to Zachodem często tym najbardziej płytkim, tandetnym, i jak w czasie półtora roku od mojego pierwszego przyjazdu do Polski ta fala zdołała opaść, w każdym razie opaść, to niekiedy wydaje mi się, że nie jesteśmy społeczeństwem wcale takim złym ani miałym, ani bezmyślnym, jak się nieraz w czarnych chwilach załamania sami widzimy.

B.R.: Pytanie bardziej osobiste: czy doświadczenia ostatnich burzliwych politycznie lat znajdują wyraz w najnowszych Pana utworach, czy też nadal stara się Pan „zabezpieczać” ślady dramatycznej przeszłości, która inspirowała dotychczasową Pańską twórczość?

W.O.: W twórczości literackiej raczej nie znajdują. Na współczesność i jej przeróżne problemy reaguję publicystyką. Pisuję i wygłaszam w monachijskiej rozgłośni taki niedzielny felieton. W literackich utworach u mnie współczesność pojawia się zwykle echem nieraz dość odległym i to nie ta współczesność najbardziej burzliwa. Myślę, że tylko w jednej książce pozwoliłem sobie na kilka uwag o niedalekiej współczesności. To zbiór Za-

pomniane, nieuśmierzone...”, teraz opublikowany również przez PIW. I już znaleźli się krytycy czujący w niej niedosyt współczesności. To, co teraz piszę, rozgrywa się w połowie naszego wieku, więc w czasach dość odległych, żeby zapomnieć o wszystkich takich cierpiących na różne niedosyty.

B.R.: W jakim celu przyjechał Pan teraz do Polski, jeżeli można zadać to niedyskretne pytanie?

W.O.: Przyjechałem jako przedstawiciel i redaktor Radia Wolna Europa. Aby znaleźć ludzi, którzy mogliby mnie czy też nam, rozgłośni monachijskiej pomóc w opracowaniu cyklu audycji, ukazujących losy i miejsce pobytu wielu polskich dóbr kultury narodowej, zagarniętych kiedyś przez Rosję carską, następnie Sowiecką. Tych dóbr kultury narodowej za Bugiem znajdują się całe złoza. Począwszy od Bibliotheca Regia Stanisława Augusta, a skończywszy na Ossolineum i Muzeum Lubomirskich. Zagarnięte zostały w różnych czasach i w różnych okolicznościach. Niektóre, te wcześniej zagrabione, miały powrócić do Polski (jak np. wróciła część arrasów wawelskich) na mocy traktatu ryskiego, lecz Sowieci pewnych postanowień tego traktatu nie dotrzymali. Inne dobra zagrabione w latach 1939—45. Nie wiadomo, czy uda się je odzyskać, na pewno jednak trzeba o nich głośno mówić, do ich odzyskania mobilizować opinię publiczną, upominać się o wyciągnięcie ich ze schowków w sowieckich muzealnych piwnicach (takimi magazynami polskich dzieł jest na przykład moskiewskie Muzeum Puszkina czy magazyny w klasztorze Zagorskim), upominać o ich rejestrację i dostęp do nich zarówno naukowcy, jak i szerzej, publicznie. Zresztą współczesne prawo międzynarodowe nie zna pojęcia „lup wojenny”. Tak Polska, jak i Związek Sowiecki jako całość, są sygnatariuszami różnych konwencji międzynarodowych (między innymi UNESCO), ustosunkowujących się do tej skomplikowanej materii i nie ma powodu spokojnie przystawać, aby nasze bezcenne, niezbywalne dobra narodowe, potrzebne dla dalszego rozwoju świadomości narodowej, bez naszego przyzwolenia znajdowały się w obcych muzeach. Sprawa tych dóbr nie uległa przedawnieniu, tak jak lupy szwedzkie z czasów Potopu. Pragniemy więc, jako rozgłośni, zresztą przy wsparciu pewnych pism polskich na Zachodzie, przygotować cykl audycji z ludźmi z Polski, którzy na ten temat coś wiedzą, coś mają do powiedzenia, którzy ten bolesny temat (prawie równie bolesny, jak sprawa pomordowanych w Katyniu) potrafili przybliżyć społeczeństwu, zaktualizować, uświadomić mu, że o dobra kultury narodowej (dziela sztuki, archiwalia, zbiory książek, starodruków, autografów królewskich i wielkich pisarzy) warto walczyć z równym poświęceniem, jak o pamięć naszych umarłych. Myślę, że sprawa dóbr kultury narodowej, zagarniętych przez naszych wschodnich sąsiadów, winna doczekać się powstania w Polsce „lobby” podobnego, jakiego doczekała się po latach milczenia w Polsce „sprawa katyńska”.

B.R.: Bardzo dziękuję za rozmowę, w której udało się Panu powiedzieć o tylu bulwersujących sprawach.

NAGRODY FUNDACJI KOŚCIELSKICH

Na swym dorocznym zebraniu w Genewie, w dniu 19 października 1991, Jury Fundacji im. Kościelskich w składzie: Krzysztof Górski, przewodniczący, Ewa Bieńkowska, Maria Danilewicz-Zielińska, prof. Krystyna Marek, prof. Jan Błoński, prof. Zygmunt Estreicher, prof. Zygmunt Marzys, Maciej Morawski, François Rosset, prof. Andrzej Vincenz oraz prof. Jacek Woźniakowski, przyznało dwie nagrody literackie w wysokości 4000 franków szwajcarskich każda, które otrzymali:

ANDRZEJ BART za powieść pt. „Rien ne va plus”;
MARIAN STALA za zbiór esejów literackich pt. „Chwilę pewności”.

FUNDACJA LITERACKA IM. NATALII GALL

Fundacja Literacka im. Natalii Gall (Danuty Natalii Wagner) stawia sobie za cel popieranie krótkich form prozatorskich (opowiadania, nowela, miniatura literacka itp.) w obszarze literatury polskiej.

Do nagrody pretendować mogą utwory, jakie ukazały się drukiem w roku poprzedzającym przyznanie nagrody. Wydawnictwa i redakcje czasopism literackich, a także osoby prywatne mogą nadsyłać wybrane przez siebie utwory pod adresem sekretarza Fundacji **MACIEJA KUJAWSKIEGO**, 53-128 WROCŁAW, UL. SUDECKA 145A — najdalej do końca kwietnia każdego roku.

Nagroda wraz z medalem pamiątkowym i dyplomem honorowym wręcza-

na jest w każdą kolejną rocznicę śmierci pisarki, 23 października, począwszy od roku 1984 (za 1983 r.). Wysokość nagrody określa każdego roku Kuratorium Fundacji.

Fundacja Literacka im. Natalii Gall czerpie fundusze na nagrody z zasobów prywatnych inicjatora jej powstania — **RYSZARDA POLLAKA**, z wpływów honoraryjnych z tytułu wznawień utworów, a także publikowanej spuścizny literackiej zmarłej autorki Natalii Gall oraz z darowizn, spadków i zapisów innych osób fizycznych i prawnych.

Jury Nagrody Literackiej imienia

Natalii Gall postanowiło przyznać **NAGRODĘ LITERACKĄ im. NATALII GALL** za rok 1990 **ANDRZEJOWI SĄPKOWSKIEMU** za opowiadanie „MUZYKANCI” z tomu „Wizje alternatywne” (Zakłady Wydawnicze „Versus”, Białystok).

Dla szczególnego uczczenia X rocznicy śmierci Patronki Fundacji fundator Ryszard Pollak przyznał **Specjalną NAGRODĘ LITERACKĄ im. NATALII GALL MALGORZACIE SZULCZYŃSKIEJ** za książkę „NE POPELNILAM ZDRADY”. Rzecz o Halinie Poświatowskiej (Wydawnictwo Literackie, Kraków).

To można było przewidzieć

(C.D. ze str. 1)

nia przez nią niepodległości, nigdy nie pozwalał sobie na redukcję swej myśli do polonocentryzmu. Więcej: nawiązując do koncepcji Kosmopolaka sformułowanej przez Andrzeja Bobkowskiego, przeciwstawiał się polskiemu nacjonalizmowi (tak w kraju, jak i na emigracji) podkreślając, że „nacjonalizm jest zdogmatyzowanym poczuciem narodowym”. Zauważał przy tym: „Z tych przyczyn, gdy nacjonalista przekształca się w Amerykanina czy Brytyjczyka zmienia nazwisko, zacierając za sobą wszystkie ślady i stara się być «bardziej papieski niż papież». (...) Kosmopolakiem jest Artur Rubinstein (...). Nie zmienił pisowni swojego imienia na Arthur i na obwołanie każdej jego płyty jest zaznaczone, że jest Polakiem. Nieporównanie niższej klasy pianista Andrzej Czajkowski — urodzony i wykształcony w Warszawie — figuruje na swoich płytach jako André Tschotkowski”.

Koncepcję Kosmopolaka jednak — sformułowaną przez Bobkowskiego dla emigracji — można przeczyć przeniesić także do kraju: jako dyrektywę współodpowiedzialności nie tylko za Polskę, lecz za Europę i świat. Tak też ją w pewnym sensie rozumiał Mieroszewski, gdy walkę o niepodległość kraju wiązał z solidarnym współdziałaniem z innymi uciskanymi narodami. „Musimy dziś planować — pisał w 1972 roku — a w przyszłości działać w ścisłym porozumieniu z prawdziwą Ukrainą, z prawdziwą Litwą i z prawdziwą Białorusią”. Ta szkoła myślenia była dla polskiej opozycji lat 70. i 80. niesłychanie ważna i sędzą, że nie byłoby bez niej owego współdziałania oraz kontaktów z niezależnymi ruchami społecznymi u naszych sąsiadów, nie byłoby też potępienia przez komunistycznych i niekomunistycznych „prawdziwych Polaków” słynnego apelu do ludzi pracy w Europie Wschodniej uchwalonego przez I Zjazd NSZZ „Solidarność”.

Pisząc artykuł O Żydach, Kosmopolakach i Wschodniakach podkreślał, że Polska — w odróżnieniu od Chin czy USA — nie jest krajem samowystarczalnym: ani gospodarczo, ani kulturowo. Dążąc do proponowanej przez nacjonalistów izolacji skazałaby się na prowincjonalizm. Podkreślał: „Kultury regionalne bywają oryginalne i interesujące — niemniej są zawsze prowincjonalne. Człowiek o wątpliwym, prowincjonalnym zapleczu kulturalnym — skonfrontowany z kulturą zachodnią w jej głównych ogniskach jak Paryż czy Londyn — przybiera jedną z dwóch skrajnych postaw. Albo pogardliwie wykiwna i wyszydza wszystko i wszystkich — albo przeciwnie, poprzez imitację stara się upodobnić do otoczenia. Zbędne dodawać, że obie postawy są manifestacją kompleksu niższości”. Sądzę, że nawet dziś dodawanie tego nie jest zbędne. I właśnie dziś warto może przypomnieć te słowa Mieroszewskiego, w których zastanawia się: „Kiedy Polska w sensie cywilizacyjno-kulturalnym przestanie być prowincją? (...) Nie ma przed nami ucieczki przed Wschodem na Zachód — ani nie ma przed nami ucieczki przed Zachodem na Wschód. Należymy bowiem tak do Wschodu jak i do Zachodu i powinniśmy rozwijać i pielęgnować ową dwoistość, która jedyna może nas

uchronić przed zdeklasowaniem tak w sensie politycznym jak i kulturalnym”. Upominając się o polską tożsamość odrzucał Mieroszewski zarazem polską filozofię zaścianka. Owo rozwijanie i pielęgnowanie dwoistości kultury polskiej — także w sferze polityki — staje się w jego pismach przeciwstawieniem typowemu zwłaszcza dla postaw nacjonalistycznych „kompleksowi Ofiary” czegoś, co można by nazwać „wyzwaniem Pionierów”.

3. Pisząc o położeniu Polski między Wschodem a Zachodem Mieroszewski zakładał taki rozwój sytuacji, z jakim właśnie dzisiaj mamy do czynienia: przewidywał zarówno zjednoczenie Niemiec i rozpad Sowietów na państwa narodowe. W latach pięćdziesiątych a nawet jeszcze w latach sześćdziesiątych czy w roku jego śmierci wszystko to wyglądało na czystą fantazję. Maria Danilewicz-Zielińska, komentując jego artykuły w roku 1978 określała niektóre z wysuwanych w nich koncepcji jako „nieco apodyktyczne hipotezy futurologiczne”. Takie też wówczas mogły się wielu czytelnikom wydawać. Takie musiały się wydawać stwierdzenia w rodzaju: „Nie bawiąc się w przepowiednie — należy podkreślić, że imperium sowieckie w epoce wzrastającej dynamiki ruchów narodowościowych jest anachronizmem. Anachronizmy trwają czasem długo, lecz w końcu zawsze upadają” (1973) lub: „Ukraińcom, Litwinom i Białorusinom musi być przyznane w przyszłości pełne prawo do samostanowienia, bo tego wymaga polsko-rosyjska racja stanu” (1974).

Swego czasu — nie mogę akurat odnieść potrzebnego cytatu — napisał Mieroszewski, że nie można być realistą nie mając wizji porządku, któremu realistyczna polityka ma służyć. Ale też ważne wydaje się i inne jego stwierdzenie: „Kategoria realizmu jest kategorią zmienną. Niepodległość Polski w roku 1910 była propozycją nierealną a zaledwie w 8 lat później stała się propozycją realną. Natomiast postulaty polityczne, których osiągnięcie naród uważa za konieczne i niezbędne — w treści swej nie podlegają fluktuacjom koniunkturalnym i dlatego w gruncie rzeczy są bardziej trwałe a tym samym bardziej realne niż polityka ugodowa czy kolaboracyjna, która jest formacją zrodzoną przez koniunkturę”. Tak pisząc, określał nie tylko zasady postępowania tego odłamu emigracji politycznej, który w owym czasie reprezentowała paryska „Kultura”, lecz także formułował zasady walki o niepodległość kraju przeciwstawiając się w tym koncepcjom, które wówczas głosił Adam Bromke czy później — już w stanie wojennym — Andrzej Micewski. Przy czym — co ważne — w sposób niezwykle trafny wytyczał granice między etyką i polityką, wskazując zarazem na istniejące między nimi zależności: „Celem polityki — pisał w Politycznych neurozach — jest definiowanie interesów państwowo-narodowych oraz szukanie dróg maksymalnego ich zaspokojenia i zabezpieczenia. Mieszanie norm politycznych i etycznych nie wychodzi na dobre ani polityce, ani etyce. Natomiast obywatele mają prawo domagać się odpowiedniego poziomu moralno-etycznego od swoich reprezentantów politycznych”. To

ostatnie zdanie wydaje się szczególnie ważne, gdyż ukazuje, w jaki sposób porządek demokratyczny — a więc taki, w którym obywatele mają prawo, niektóre zaś ich grupy nawet obowiązki, dokonywać oceny postępowania polityków — staje się gwarantem zasad, jeśli ich stałe przestrzeganie jest w ogóle możliwe.

Pragmatyzm polityczny Mieroszewskiego nie stanowił przeszkody w rozwijaniu „nierealistycznych” wówczas wizji właśnie dlatego, że zasadę niepodległości (a nie na przykład jakiejś „autonomii”) uznał za podstawowy interes państwowo-narodowy. Tylko założenie tego celu pozwalało już wówczas zastanawiać się nad koniecznymi warunkami jego osiągnięcia: jednym z podstawowych był upadek imperium sowieckiego. Pisząc o tej hipotetycznej wtedy sytuacji podkreślał jednak: „Jestem przekonany, że Polska i inne kraje Europy Wschodniej odzyskają w pewnych formach niepodległość — natomiast nie wierzę, by nasz kontynent wrócił do sytuacji porównywalnej z układem z 1939 r. W konsekwencji nie wierzę w polityczną zastosowalność jakiegokolwiek polskich doktryn politycznych mających swe źródła w układzie sprzed września 1939 roku” (1967).

Kontynuując jakby ową myśl w 7 lat później podkreślał: „W historii powtarzają się pewne układy i schematy sytuacyjne. Lecz w większości wypadków historia jest katalogiem samych premier. Historia jest fascynująca ponieważ «to samo» nigdy nie jest «to samo» i identyczne niemal sytuacje w nowych wydaniach produkują odmienne rezultaty”. Ten heraklityzm polityczny Mieroszewskiego jest wyrazem traktowania historii jako zadania, jest zarazem odrzuceniem jałowego zanurzania się w przeszłości charakterystycznego dla tych wszystkich, którzy z uporem trzymają się dziejowych analogii i z nich usiłują wysnuć wnioski dotyczące przyszłego działania. Niepowtarzalność powstających właśnie sytuacji jest zadaniem dla polityków i całych społeczeństw: zadaniem formułowania na nowo swych myśli i działań, ponawiania definicji interesów państwa i narodu — te bowiem też nie są niezienne i raz na zawsze ustalone.

Przykład może najbardziej charakterystyczny dotyczy interesów trzech państw — Węgier, Czecho-Słowacji i Polski — w zależności od rozwoju sytuacji politycznej. W cytowanych już Politycznych neurozach z roku 1967 formułował Mieroszewski warunki budowy ich federacji: „Idea federacji polsko-czechosłowacko-węgierskiej, którą «Kultura» zawsze popierała i popiera nadal — staje się coraz mniej realna na skutek polityki niemieckiej. Ani Czechosłowacja ani Węgry nie zechcą wiązać się z Polską, która ma zatarg z Niemcami. Niemiecka Republika Federalna musiałaby oficjalnie uznać granicę na Odrze i Nysie i wyzbyć się wszelkich pretensji rewizjonistycznych, by idea federacji polsko-czechosłowacko-węgierskiej przeobraziła się mogła w realny projekt”. Myślę, że tych wywodów, w świetle najnowszych doświadczeń, nie trzeba komentować. Wypada jednak podkreślić niebawem wprost przenikliwość i realizm tej króciutkiej analizy. Podobnych przykładów można w piśmarstwie Mieroszewskiego odnaleźć więcej.

Wreszcie sprawa w twórczości Mieroszewskiego niezwykle ważna — sprawa ULB: „Jeśli dla uproszczenia obszar obejmujący Ukrainę, Litwę i Białoruś określimy literami ULB — to należy stwierdzić, że w przeszłości — a poniekąd i dziś — obszar ULB był czymś więcej niż «kością niezgody» między Polską a Rosją. Obszar ULB determinował formę stosunków polsko-rosyjskich skazując nas albo na imperializm, albo na satelityzmo. Jest szaleństwem przypuszczać, że poprzez uznanie problemów ULB za sprawę wewnętrzno-państwową rosyjską — Polska może wyprostować swoje stosunki z Rosją. Rywalizacja pomiędzy Polską a Rosją na tych obszarach miała zawsze na celu ustalenie przewagi a nie dobrosąsiedzkich stosunków polsko-rosyjskich”. Stąd postulat określenia jako celów polskiej polityki wschodniej przyznania niepodległości tym trzem krajom i uznanie ich suwerenności za „polsko-rosyjską rację stanu”.

Wówczas, gdy słowa te były pisane, mogły wydawać się bredzeniem utopisty. Dzisiaj, gdy w telewizyjnych dziennikach pokazujących mapę Europy wyodrębniono już obszary państw bałtyckich, ta myśl Mieroszewskiego wymaga w moim przekonaniu poważnej refleksji. Historia jest zadaniem dla wszystkich: tak dla Polaków, jak dla Rosjan. Nie ma w niej spraw raz na zawsze do końca ustalonych i niezmiennych. Tym bardziej więc, jeśli mamy choćby marzyć o jakimś rzeczywiście stabilnym ładzie w tej części Europy, musimy wraz z Rosjanami — a to właśnie sugeruje formuła Mieroszewskiego dotycząca ULB — stać się jednak stało, Polacy muszą wreszcie uwierzyć w swą polityczną podmiotowość, w zdolność formułowania poważnych postulatów pod adresem swoich partnerów, wreszcie przelać defensywność swych działań nie po to, by zastąpić ją ofensywnością, ale konstruktywizmem.

Wyjście poza ograniczenia historii możliwe dzięki połączeniu realizmu z odwagą konstruowania z porozu tylko utopijnych wizji — oto właściwa lekcja lektury spuścizny Mieroszewskiego. Trudno by było określić zasięg wpływu jego piśmarstwa w ubiegłych kilku dziesięcioleciach: bez wątpienia miało ono ogromny udział w formowaniu polskiej myśli opozycyjnej. Przeciwwstawiając się odbudowywaniu skansenu politycznego bazującego na doświadczeniach Dwudziestolecia jako jedynym punkcie odniesienia, stawiając postulat przekraczania aktualnych ograniczeń, wreszcie — dążąc do ukazania historii jako zadania dla przyszłości a nie jako zastępczej formy przeszłości — jest autor Materiałów do refleksji i zadumy na wkrótce nowoczesnym polskim piśmarstwie politycznym. Nie znaczy to, że wszystko, co napisał zachowuje nadal swą aktualność: od jego śmierci minęło wszak już piętnaście lat. I nie znaczy to, że formułowane przez niego myśli zawsze należy podejmować bez dyskusji. Znaczy to jednak, że właśnie dzisiaj, gdy wiele z jego wówczas odrzucanych przez „zdroworozsądkowych” publicystów wizji wcieliło się w życie, należy jego twórczość możliwie szeroko — i chyba nie tylko w Polsce — upowszechnić. Po to choćby, by nie powtarzano, że „tego nie można było się spodziewać”. Można było.

październik 1991

Leszek Szaruga

Notatka ze schronu

(C.D. ze str. 1)

sansowy Sibenik stanowi szczególną prowokację dla prymitywów. Jakież uderzają ci rozwścieczeni przypadkowi sprawcy Historii! I jak żyć będą, między nami czy oddzieleni, w wiecznym „uchodźstwie”, ci ludzie, którzy nam się narzucali ze swoim braterstwem! TO BELGRAD UDERZA: Ale przecież jesteśmy pisarzami i winniśmy te nasze okropności przyrównać do archetypowych sytuacji. Byłby to „zapis przestępstwa”. A więc możliwy element „powieści przestępstwa”, jak by go określił Kayser. Moje schronienie byłoby

porównywalne z Czarodziejską Górą, a ja byłbym Hansem Castorpem. Nie, to niemożliwe! Albo mógłbym być podobny do autora Doktora Faustusa, który kończy powieść, gdy na Norymberdze padają bomby aliantów!

Nie ma tu żadnego podobieństwa. Należałoby napisać powieść o ochronie przed wojną, która nosi w sobie cechy pięciu rodzajów historycznego, światowego konfliktu: komunizm kontra demokracja, zakompleksiały Wschód przeciw postępowemu Zachodowi, megalomańska armia przeciw skromnemu chrześcijaństwu, państwo serbskie

przeciw państwu chorwackiemu, biedni i zniewoleni Serbowie przeciw jeszcze biedniejszym i bardziej zniewolonym Chorwatom. A wszystko to doszło do głosu w pewnym dobrze zbudowanym domu, w nocy, po bliskich detonacjach, w przepięknym otoczeniu Ksaveru, wśród przestraszonych, lecz w pełni świadomych ludzi.

O czym teraz myślą moi dawni przyjaciele i znajomi, pisarze serbscy? Milovan, Bata, piękny Bećko, szanowna Pani Desanka, gładki Slobodan Selenić? Czy ta notatka będzie dla nich oznaczać tylko „proustaszowską propagandę”? Czy powiedzą, że jest to „podsunięte przez płatnych agentów Tudjmana”? Czy też będą nadal śnić o Serbii aż po rzekę Kupę? Czy będą na przykładzie bohaterskich wukowarczan snuć własną teorię o zagrożeniu. Ze ich rozsądek jest zagrożony, co do tego nie ma wątpliwości; ale, że zagrożona jest ich świadomość narodowa w spokojnych domach dorobkiewiczowskiego Belgradu, to przechodzi

granice nawet zagrożonego rozsądku. Przecież to z Belgradu pochodzą te śmiercionośne granaty, miny i rakiety. To Belgrad uderza! Belgrad obmyśla w swoim bezuczuciowym nadrealistycznym śnie.

Wychodzę ze schronu w koszmarną rzeczywistość. Zyskałem tam kilku nowych znajomych, a z innymi rozstałem się na zawsze. Nie ma możliwości, by powszechny rozłam oddzielił od indywidualnego. Uciekam ze schronu na światło dzienne, by mi się sen o miłości nie rozwił do końca. Ale tego, co w sposób naturalny nie da się zespolić, nie da się też utrzymać ani wysiłkiem intelektualnym, ani dobrą wolą.

Ante Stamać

tłum. Jadwiga Stadnikiewicz-Kerep

Pierwodruk: „Vjesnik”, Zagreb, 21.09.1991.

Fragmenty III części zbioru szkiców o zagadnieniach przekładu poetyckiego pt. „Ocalone w tłumaczeniu”. Książka ukaże się w bieżącym roku nakładem Wydawnictwa a5.

Z „MAŁEJ ANTOLOGII PRZEKŁADÓW – PROBLEMÓW”

STANISŁAW BARAŃCZAK

Christian Morgenstern
(1871—1914)

DAS AESTHETISCHE WIESEL

Ein Wiesel
sass auf einem Kiesel
inmitten Bachgeriesel.

Wißt ihr
weshalb?

Das Mondkalb
verriet es mir
im Stillen:

Das raffinierte
Tier
tat's um des Reimes willen.

ROZPOZNANIE: Christian Morgenstern był w literaturze niemieckiej specjalistą od punnon-sensowego humoru i ten wierszyk, chyba najbardziej znany okaz jego sztuki, jest zarazem autotematycznym komentarzem demonstrującym praktycznie, na czym polega komiczny efekt poetyckiego absurdu. Polega, krótko mówiąc, na tym, że poeta absurdalny odwraca kolejność działań wykonywanych przez poetę „zdroworozsądkowego”. Ten ostatni najpierw wymyśla liryczną sytuację a potem przedstawia ją w zrymowanej formie. Poeta absurdalny natomiast najpierw rymuje, a potem wymyśla sytuację, którą można by do rymów dopasować. (W tym miejscu notabene nachodzi nas nieoczekiwana myśl: czy ta rzekoma różnica między poezją „zdroworozsądkową” a absurdalną nie jest w gruncie rzeczy różnicą między złą poezją rymowaną a dobrą poezją rymowaną?). Teoria ta zostaje przez Morgensterna zilustrowana początkowym obrazem „łasicy”, która — wyłącznie dzięki temu, że jej nazwa w

języku niemieckim rymuje się z „krzemieniem” i „strumieniem” (ściślej „sączącą się wodą strumienia”) — zmuszona jest siedzieć na pierwszym z tych obiektów i pośrodku drugiego. Ale — i tu następuje mistrzowska pointa — nie jest wcale tak, że rzeczywistość została tu przymocowana do wymogów poetyckiej formy: to raczej ona sama dobrowolnie się do nich dostosowała. Łasica jest bowiem „estetyką” i „wyrafinowanym zwierzęciem”, które samo z siebie wyprawia tak dziwne rzeczy „dla rymu”.

ZADANIE: Takie jak przy każdym innym tłumaczeniu: przełożyć tekst oryginalny możliwie wiernie. Trzeba jednakże w tym miejscu zacząć od zasadniczego pytania: na czym polega translatorska wierność w wypadku poezji punnon-sensu? Czy będziemy wierni Morgensternowi, jeśli okażemy pełny szacunek dla jego „łasicy siedzącej na krzemieniu pośrodku strumienia” i, nie wając się zmienić żadnego z tych trzech elementów sytuacji, zaczniemy łączyć sobie głowę nad kwadraturą koła, jaką jest ich zrymowanie?

(A pamiętajmy, że rym musi być absolutnie dokładny i zarazem zaskakujący, bo inaczej nie ma mowy o komizmie, a i sens całego wierszyka też wyparuje bez śladu.) Jasne, że nie tędy droga. Wierny przekład tego żartu to taki przekład, który będzie co najmniej równie śmieszny jak oryginał. Jeśli dla osiągnięcia tego celu konieczna będzie kompletna wymiana wszystkich realiów, dla tłumacza nie powinno to stanowić żadnej przeszkody. Gdyby przy tłumaczeniu podniosłego wiersza Shelleya „Do skowronka” zastąpić skowronka indykiem, każdy sąd przysięgłych uniewinniłby miłośnika poezji, który za dałby tłumaczowi parę dobrze wymierzonych ciosów tęym narzędziem. W wypadku Morgensterna natomiast tego rodzaju potraktowanie należałoby się raczej hipotetycznemu tłumaczowi, który, wpijając się kurczowo w ciało nieszczęsnej łasicy, usiłowałby zatrzymać ją w wierszu nawet za cenę braku rymu czy dowcipu.



ROZWIĄZANIE:

Christian Morgenstern

ŻYRAFY-ESTETKI

Stado żyrafie
gnieździ się w szafie
na koralowej rafie.

Pytanie nader
istotne: Czemu?

Dromader
ze strusiem emu
depezują odpowiedź z Rzymu.

Jest zwyczajem wyrafinowanych żyraf
robić takie rzeczy dla rymu.

Geoffrey Chaucer (1320?—1400)

A B C

Incipit carmen secundum ordinem literarum Alphabeti (fragmenty)

Od tłumacza: ABC należy do najwybitniejszych krótkich utworów największego angielskiego poety średniowiecznego. Utwór ten uważany jest za jeden z wcześniejszych poematów Chaucera. Został, jak się tradycyjnie podaje, napisany na prośbę księżny Blanki Lancaster ok. r. 1360, „niewiasty nabożnej, do jej prywatnego użytku”. Chaucer miał przed sobą wzór w postaci wiersza francuskiego truvera, Guillaume'a de Deguileville na cześć Matki Bożej, poety o około pokolenie wcześniejszego od autora *Canterbury Tales*. Chaucer potraktował oryginał dość swobodnie trzymając się jednak jego głównych linii. Zachował również cechę akrostychu: każda strofa zaczyna się od kolejnej litery alfabetu.

Czym się pocieszę, jeśli nie łaską Twoją?
Mój grzech, me przeraźliwe przygnębienie
(One przed Twym obliczem stać się boją)
Gotują na mnie groźne uderzenie;
Iż orzekł Rozum nadziei zdławienie,
A grzesznicy muszą być ukarani —
Słuszne się widzi moje potępienie
Krom Twej łitości, świetna niebios Pani!

Darmo wątpić, Miłosierdzia Królowo:
Tyś Przyczyną jest łask i przebaczeń,
Przez Cię z nami Przymierza odnową

Bóg w Swym Synu pojednać się raczył.
Droga Matko Chrystusa! Wszak inaczej
Łuk napięty już Gniewu i Kary,
Nie oszczędzi nikogo — choć płacze,
Lecz przez Ciebie znów jest łaska bez miary.

Echem wraca wspomnienie: często z grona
Straceńców mnieś wyrwała — w sposób różny —
I znów dusza miłosternie zbawiona:
Lecz mi łask trzeba, Pani, w czas groźny
Rozprawy, którą Sędzia Wielmożny
Zacznie — a że owoc mój nikły na niwie,
Gdy pokuty nie odbędę w czas zbożnej,
Moje czyny zgubią mnie sprawiedliwie.

Furtki szukam do schroniska Twojego
W czas burz biegnąc: gromy huczą po niebie —
Niech wśród gradu Cię nie zbraknie straszego!
Choć jam nędzny, nie opuszczaj w potrzebie:
W woli, w czynach mych zwierzę widzę, nie siebie.
Przyodziej mnie Twą łaską, Pani Święta:
Wróg mój jest Twoim — ściga także Ciebie!
Cięciwa na mą zgubę trwa napięta!
(...)

Honor uczynił nam — z własnego chcenia
(Tak mu rzecz) — jako człowiek wszedł w przymierze,
Krwia Swą wszelkiego spisał Akt Zwolnienia
Na krzyżu, z każdym, co zostaje w wierze
I pokucie. A Ty wstaw się szczerze
Za nas, o Pani Jasna i za braci,
A pan skreślił co się Jemu należy,
I Nieprzyjacieli swą zdobycz utraci.

przełożył

Przemysław Mroczkowski

Jest rok 1789, czternasty lipca. Data skądinąd znana: lud Paryża w czynie społecznym przystępuje do rozbioru Bastylii. Poczynając od garnizonu. Tegoż dnia w X... jenerałowi ziem podolskich Ignacemu Sapiesze (z bocznej, bocznej linii), znika kolia wy-sadzana.

Jenerał skonstatował fakt po-smutniał. Zawsze pierwszą jego reakcją na zachodzące i zarazem niekorzystne wydarzenia był ogarniający go smutek i silna, przemożna tęsknota, by wrócić do łona matki. Ignacy miał już blisko pięćdziesiąt lat (jego matka siedemdziesiąt pięć). Trudno się więc dziwić, że drugą naturalną jego reakcją było obrzydzenie. — Nie możemy się już cofnąć — pomyślał i kazał przywołać podkomorzego.

— Zuzanna zniknęła? — skonstatował pytając.

— Czym się to skończy? — pomyślał podkomorzy.

Jenerał z niesmakiem podszedł do okna. Nawet widok ukochanych ziem podolskich nie upajał go tak jak zazwyczaj. Ich bezkresność zyskiwała swój kres w postaci kolii lub raczej jaśniepani.

— Ona będzie mi z tego powodu robić wyrzuty — oparł się o okno i rozplakał. To było dla niego nie do zniesienia. Socjologicznie rzecz biorąc było to zachowanie typowe dla elity rządzącej w okresie rozbiorów. Książę Wincenty Czartoryski płakał przy oknie za każdym razem, gdy dowiadywał się, że caryca ingeruje. Przeszło to u niego w rodzaj manii prześladowczej. Starano się więc ukrywać przed nim to, że caryca ingeruje. Co z kolei jednak wprawiało go w patologiczny hurraoptymizm. Chciał skrzykiwać hurra i wieść je na ziemi stracone, by je przemienić ze straconych w odzyskane. Wtedy znowu trzeba go było powiadomić, że caryca jednak ingeruje. Popadał w rozpacz. Odmawiał przyjmowania pokarmów. Jego podkomorzy

umysłu Zuzanna zawdzięczała życie. Zdażyła wyunąć nogę ze strzemięcia i co prawda ziemię pocałowała, ale bez konia nad sobą, który zgruchotałby jej kości.

— Co za kobyła! — rozdarła się Zuzanna pośród lasu. — Jakbym dopadła tego drania, co mi ją sprzedał! Dzie sięć dukatów za to ścierwo!

Zlustrowała kobyłę okiem młodej, gorącej żony, która obserwuje skonanie męża pięćdziesiąt lat starszego od siebie i skonstatowała, że sprawa jest beznadziejna. Nie żyła już do tego konia żadnych uczuć. A to, że w ogóle na niego liczyła, było jej życiową pomyłką.

Pomyłki są w istocie rzeczą ludzką. Human, all too human. Niemniej Zuzanna znajdowała się dopiero w połowie drogi, która przez las wiodła z rezydencji jenerała ziem podolskich do miasta. Prędzej czy później pojawią się na tej drodze dragoni z lekkiego regimentu jenerała. I to się już Zuzannie bardzo nie podobało. Już sam jenerał mało jej się podobał. Ale w końcu to, co z nim zrobiła, przyniosło jej pewny

— Dycha — ozwał się rzeczowo do oficera. Oficer z wysokości kulbaki zlustrował las okiem wodza, który zastanawia się, z której strony najszybciej mogą do niego strzelić. Po czym zlął z konia i ustawił się między nim a najbardziej przejrzystym kawałkiem lasu. Wiarus obszedł leżącą szkapę i machinalnie kopnął ją w zadek ostrogą. Kobyła poderwała się z ziemi i ruszyła przed siebie jak oszalała.

— Jedź Kaźmirz! — ryknął stary na jednego z dragonów. — Ona się przy karczmie zatrzyma, to Józwy.

Jeden z dragonów pogalopował za nią ochoczo. Zuzanna obserwowała to zaciskając pięści do bólu.

— My z majorem ostaniem — zakomenderował wiarus. — A wy w krzaki!

Nie schodząc z koni dragoni ostrożnie ruszyli w las po obu stronach drogi.

Jenerał ziem podolskich wpatrywał się w okno z przyczyn emocjonalnych, nie dla konkretnego celu, niemniej furę zauważył. I zdziwił się,

Zuzanna w okresie rozbiorów

Eugeniusz Biskup

— Jaśniepan... — podkomorzy skonfundowany. Typowe objawy lęku przed facetem, który w hierarchii stoi wyżej od niego: drżenie rąk, pięćdziesiąt cztery lata i czworo dzieci.

— Kurwiscze ukradło kolię jaśniepani.

— O rany...!

Jenerał obserwował przerażonego sługę ze wzrastającym niesmakiem. Dobierał sobie ludzi nieudolnych, bo był z natury człowiekiem skromnym, nie mającym wysokiego mniemania o sobie. W sytuacjach trudnych ludzie ci jednak często go zawodzili. Okazywali się bowiem nieudolni i nie umieli wykonać żadnych poleceń. Chętniej nawet wróciliby do łon swych matek, niż starli się z wrogą rzeczywistością.

— Musimy odzyskać kolię — burknął jenerał zdecydowanie, ale bez przekonania.

— Odzyskamy ją jenerale! — zapewnił go podkomorzy mniej więcej w tym samym stylu, ale za to z oddaniem.

— Odejdź — powiedział na to jenerał. Nie mógł znieść widoku swych ludzi. Patrzył na podkomorzego, ale miał wrażenie, że widzi swą matkę.

Właściwie jenerał Ignacy nie miał tak bardzo za złe Zuzannie, że swisnęła kolię. Gdyby swisnęła mu całe ziemie podolskie, to co innego. W rzeczy samej nie lubił płacić kobietom. Właśnie to, że im nie płacił, sprawiało mu największą przyjemność. Był wtedy wyniosły, zdecydowany. Jedną nawet objęła go za kolana i wtedy poglaskał ją z żalu po głowie. Cyruлик przez miesiąc okładał mu rękę, w którą go ugryzła, ale jenerał nie żałował. Na samo wspomnienie tego wydarzenia twarz mu się rozjaśniła jak poranek wyłożony słońcem po brzegi rzeki płynącej wśród stepów absolutnie bezkresnych. Rzeka toczyła swe wody wolno, wręcz opieszale, złoćąc się w blasku słońca, niemniej w końcu, zgodnie ze swym przeznaczeniem, wpadła do morza. Jenerałowi nerwowo skoczyła powieka. Kolia zniknęła, Zuzanna zniknęła, ale jaśniepani pozostała.

Walnął pięścią w stół aż zadudniło. Niech podkomorzy słyszy (podśluchiwał za drzwiami), czym się to może skończyć.

zwariował, ponieważ nie umiał zrównoważyć bilansu emocjonalnego księcia, chociaż caryca ingerowała bez przerwy i logicznie rzecz biorąc powinien umieć odpowiednio dozować dane, skoro właściwie wszystkie czynniki stanowiły constans. Kluczem wyjaśniającym kłeskę podkomorzego jest zapewne wyjątkowa amplituda emocji księcia Wincentego.

— Włóczenie wszystkich krajów nadbałtyckich uwłaszczające się! — ryknął podkomorzy i wyskoczył z wieży do fosy 12 lipca 1789 roku.

— Gdyby ten fou polonais umiał pływać, jest encore en vie — skomentował to dosadnie Francuz de La Rochelle, książęcy nauczyciel fechtunku.

— Merde — odpowiedział mu kandydat na jakobina, młody porucznik Bagiński, wówczas jeszcze zakochany w pannie Ostrożyźnie, cud-dziewczątka ze wspaniałymi jabłuskami na tacy, ale bez posagu. — Merde — powtórzył Bagiński podniecony myślą o tym, co panna Ostrożyzna nosi jak na tacy. — W fosie spuszczonego wodę już po pierwszym rozbiore, żeby zamek nie sprawił wrażenia obiektu wojskowego i mógł uchodzić wyłącznie za rezydencję magnacką. Czym w dobie artylerii w istocie był.

— Przez redukcję zbrojeń... — odparł de La Rochelle, odpiierając z łatwością sztuchy Bagińskiego, który w sztuce fechtunku jeszcze znacznie mu ustępował. — Przez redukcję zbrojeń więcej ludzi ginie niż na wojnie.

Skłamał bez zmużenia powiek i odparł kolejny sztuch. W sali do fechtunku było duszno, a stopy walczących wzbijały gryzący kurz. De La Rochelle od trzydziestu lat żył z nauki fechtunku i widok życia ludzi w pokoju był mu tak samo niemiły jak widok zepsutej kielbasy, kobiety z płaskimi pierściami lub widok ludzi załatwiających wszystkie porachunki przy pomocy boksu. Kiedy to wszystko stanęło mu naraz przed oczami tak się wściekł, że przebił Bagińskiego floretem na wylot. Jako się rzekło, ten w sztuce fechtunku jeszcze znacznie mu ustępował. Nadziały na floret Bagiński ani jęknął. Jeny oczy wytrzeszczył. W sali do fechtunku powoli opadał kurz, a roznosiła się niemila woń.

— Merde — skwitował to de La Rochelle wyjmując floret z piersi kandydata na jakobina. — Trzeba było mnie nie denerwować.

Koń chrapanął ciężko i wyprostował nogi dopiero wtedy, gdy już leżał na ziemi. Sztwywny jak kłoda. Tylko wyjątkowej przytomności

wymierny zysk. Po dragonach mogła się spodziewać samych strat. Poza tym mężczyźni, którzy w pojedynkę zazwyczaj okazują się skłonni do masochizmu, w grupie wracają do pierwotnej męskości, aby się w niej utwierdzić, prześcigają się w wulgarności i raczej eksponują siłę, niż myślą o swej satysfakcji. Ta prawda jest ponadczasowa, ale dragonów, huzarów i artylerii przeciwlotniczej dotyczy w jeszcze większym stopniu niż na przykład przypadkowej grupy pijanych płatnaczy czy rytowników.

Krótko mówiąc, Zuzanna zaczęła się straszliwie bać. Była młoda. Miała dopiero dziewiętnaście lat (jej matka trzydzieści siedem). Gdyby mogła, bez wahania wróciłaby do jej łona, ale matka była daleko. W innym mieście. Może gwarzyła spokojnie z sąsiadkami. Przetawiała kwiatki na oknie. Uśmiechała się w stronę przejeżdżającej karety i wdychała do królewicza z bajki. — Dobrze, że chociaż chłop cię leje — pomyślała Zuzanna z mściwą satysfakcją. — Ja tu chyba oszaleję, a ona przestawia kwiatki. — Dragoni na razie chodzili jej tylko po głowie, ale lada chwila mogło być inaczej. A w dodatku mogli oni jenerałowi wytłumaczyć, że opierała się oddać kolię. Przy jej charakterze było to nawet bardzo prawdopodobne. Nienawidziła rozstawać się z niczym, co już raz znalazło się w jej posiadaniu. I pierwsze co zrobiła, to wyjęła kolię z koszu i prasała ją w wiewiórczą dziuplę, którą zauważyła na najbliższym drzewie.

Potem schowała się w krzakach i po prostu plakała ze strachu jak pędzone przez nagonkę zwierzątko. Nie zaslugiwała na to. To nie była jej wina, że nie chciała być bita przez pijanego ojca. Ze miała dość matki, która tylko głupkowato się uśmiechała i wdychała. Ona, Zuzanna zasługiwała na to, by sama jeździć kareta, a nie tylko do niej wdychać. Miała ciało, które mogło spalić z pożądania i zwęglić na popiół najzimniejszy sopel lodu. Wypreżyła się na mchu czując, że jest po prostu żywa i ciepła jak skóra niedźwiedzia przy kominku, w którym pali się dynamitem. Dotąd nie spotkała jeszcze mężczyzny, który naprawdę by się jej podobał, do którego pragnęłaby się przytulić, przyjąć go w siebie tak, by stał się brzemienną. Spotkała jednak wiele karek, które dostatecznie jej się podobały i dlatego, niestety, poderwała się z mchu przerażona, a to tylko gałązka trzasnęła gdzieś blisko.

Po chwili jednak zobaczyła, okrągłymi z przerażenia oczami, że oddział dragonów jak burza przeleciał drogą. Już miała odetchnąć z ulgą, gdy usłyszała charakterystyczne odgłosy hamowania. Oddział zawrócił. Oficer wskazał szablą padline. Stary dragon splunął z niechęcią. Zlął z konia i poma-gał leżącą szkapę.

że do jego zamku jedzie fura z furmanem i szkapą. Furman ma w ręku bat, a na furze coś leży. Z tej odległości nie był jednak pewny, czy go oczy nie mylą. Tym bardziej, że furman przysłał mu wgląd w zawartość fury.

— Podkomorzy! — wrzasnął.

Podkomorzy już stał za nim zaszepiony. Współczujący. Cały jakby w empatii podziwiający smutek jenerała, którego ten wcale nie odczuwał.

— Co to jest? — wrzasnął jenerał wskazując na furę. — Myśmy co zamawiali z miasta?

Podkomorzy był zupełnie zбитy z pantafelku. Wczuł się nie w tę stronę co trzeba i był blisko zemdlenia.

— Z miasta nic — wybełkotał, myśląc o tym, co da jeść czwórce dzieci i babie, która zżerała tyle samo w pojedynkę, co dzieci w czwórce.

— To co to jest?

Jenerał był przykro zaferowany i czuł, że to, co leży na furze, nie jest dla niego dobre. Jest nawet bardzo złe. Przeleciał szybko swe dwa stadia: wracam do łona matki, przynigdy. Po czym zaczął szarpać podkomorzego.

— Co to jest? Gadaj draniu, ja nie jestem Wincenty, żeby przede mną ukrywać, że caryca ingeruje. Ja wiem, że ingeruje i żyję z tym. Widzisz!

Walnął się w piersi aż zadudniło.

— Dycham! Zyj!

— Ubit — wyjął podkomorzy.

— Co?

— Zabij. Bagiński Paweł. Usięczon przez Francuza w pojedynku.

Jenerał obrócił się do okna jakby spokojniejszy. Zlustrował jeszcze raz furę okiem wodza, który lustruje pole bitwy przed rzućciem żołnierzy na pewną śmierć. Po czym spokojniejszy odwrócił się do podkomorzego.

— Co to za ancymonek?

— Bagiński Paweł. Podobno poszło o kobietę. Niejaką Ostrożynę.

— Ja go nie znam. Dlaczego ta furę akurat tu jedzie? — wypytywał podejrzliwie jenerał. Już spodziewając się najgorszego. Ale wyjaśnienie podkomorzego zważyło go z nóg.

— Ukochany siostrzeniec jaśniepani. Bagiński Paweł.

Tego już było jenerałowi za wiele i rozplakał się z żalu nad sobą. Nie dość że kolia, to jeszcze i nieboszczyk. I to siostrzeniec jaśniepani.

— Tak bardzo go kochałem — lkał przed podkomorzym.

— Ja też — załkał podkomorzy i objął jenerała jak ojciec. Wystarczyło, że podkomorzy pomyślał o swej grubej

żonie i czterech bachorach, a lzy płynęły mu z oczu jak groch. W końcu nikt nie lubi żyć ze świadomością, że traci czas.

Nagle w jenerała jakby piorun uderzył. Wyprostował się jakby zobaczył miss Podola wychodzącą z kąpeli i odsunął zdecydowanym ruchem podkomorzego.

— Musimy przyjąć to jak mężczyźni, a nie jak baby. Idziemy powiadomić jaśniepania.

Podkomorzy ruszył za nim.

— A ty po co? — zatrzymał go. — Ty idź ogłosić żałobę na całych ziemiach podolskich (chciał już powiedzieć „narodową”, ale ugryził się w język). Klejnoty możesz zamknąć w skarbcu — dodał jeszcze. — Jest żałoba, to nie będą jaśniepani potrzebne.

Socjologicznie rzecz biorąc było to zachowanie dość typowe dla ówczesnej elity rządzącej. Jenerał maszerował zadowolony przez komnaty podśpiewując sobie z cicha: „Bagiński ubił! Bagiński zabił! Niech żyje królik Rabitti!”. Przed drzwiami jaśniepani wycisnął sobie w gębę pół cytryny aż mu zęby ścierpły i wszedł do środka.

— Och Ignacy, dlaczego nie pukasz? Jestem w dessous — jęknęła jaśniepani z nadzieją.

— Trudno — skrzywił się jenerał. — Ta wiadomość nie może czekać. Paweł Bagiński ubił!

I roześmiał się szczerze na cały głos.

Dragon i wściekli wlekli się lasem noga za nogą. Raz po raz któryś z nich sięgał po manierkę z wodą, pociągał łyk, krzywił się, pluł siarczyście i tylko policzki im coraz bardziej gorzały. Na przodzie jechał oficer. Przed nim na kulbace siedziała Zuzanna i szczebiotała cicho:

— Tobie powiem, ale do nich nie mam zaufania.

Jeden z dragonów zaklął szpetnie:

— Przywiązać by ją do drzewa i oćwiczyć!

— Najpierw trza zobaczyć, czy to ma przy sobie — ryknął drugi.

— A czego ma nie mieć, wszystko ma przy sobie — skomentował obłędnie trzeci pociągając z manierki. Zwolennik oćwiczenia wywinął się w siodle i wałnął żartowniście w gębę, dokładnie, w manierkę, która tamtemu mało ością w gardle nie stanęła. Zaatakowany wypluł dwa zęby i już miał sięgnąć po krócić, gdy dotarło do niego wyjaśnienie rzucone świszczącym z pożądania głosem:

— To woda na młyn tego dupka. On to będzie sam sprawdzał na kwaterze!

Zaatakowany rozmyślił się i podjechał do starego wymachując krócić. Długo z nim nie gadał, a stary podjechał do oficera.

— Panie...

— Co tam wierny żołnierzu — stęknął oficer obejmujący Zuzannę, cały zły potem. Na poły z pożądania, na poły ze strachu. Zuzanna patrzyła na starego jak wierny pies gotów się łazić do nóg wiekowego właściciela. Dragon splunął i odkrył przed oficerem prawę, która tamtemu już od dawna zlewała plecy zimnym potem.

— Wojsko nie chce służyć. Chce sprawdzać.

— Za co biorą żołd? Za służenie czy za sprawdzanie? — odparował oficer udając zdecydowanie, chociaż było mu raczej lyso pod peruką.

— Jenerał zalega z żołdem od trzech miesięcy. A to szwajcarski regiment. Uczucia się dla nich nie liczą, tylko żołd.

— Niech wracają do Szwajcarii — rozstrzygnął major.

— Nie mogą. Tam nie ma dla nich pracy...

— To niech się cieszą, że tu mają pracę.

— Ale nie mają żoldu — wyjaśniał cierpliwie stary. — Sama praca też się dla nich nie liczy, podobnie jak uczucie.

Z tyłu już pierwsi palili w powietrze z bandoletów.

— Trzymaj się Zuzanna — syknął oficer. Obejrzał się ostatni raz w tył i spał konia ostrogami. Tyle miał szczęścia, że dragonom już kurzyło się nie tyle z głów. I zanim zoczyli, o co biega, oficer z Zuzanną odsadzili się na wiorstę. W pierwszym momencie

stary chciał sam zastrzelić oficera z krócić, ale machnął ręką. W końcu jam stary, on młody. Co mnie po życiu. Jeszcze jeden rozbiór oglądać. Pierwszy dragon, który podjechał, przyłożył staremu krócić do głowy i wypalił. Stary zwał się pod końskie kopyta. Stado wilków ruszyło za Zuzanną. Zaczęło się...

Ciało Pawła Bagińskiego, kandydata na jakobina, spoczywało już na marach, ale jego ukochanej ciotki, choć można by się spodziewać innego obrotu sprawy, przy tym ciele nie było. Znajdowała się bowiem przy innym ciele — jenerała ziem podolskich. Ciało jenerała siedziało naprzeciw niej, trzęsło się na wybojach i melancholijnie wyglądało przez okno karety. Wiedzioną złościwością jaśniepani szarpnęła za firankę i zasłoniła okno. Chcąc nie chcąc jenerał musiał potrzeć na nią.

— Zabrałaś sakiewki z pieniędzmi? — spytał melancholijnie.

Jenerał nie stanął w tym względzie wyjątku. Nawet w pewnym sensie nieprzytomnie kochał swą wybrankę. Podobnie jak ona jego. Dlatego też musiał ubierać inne swe wybranki w jej klejnoty. Nie miał wyjścia. Miłość jest panem absolutnym i bezwzględnie egzekwuje swe wymagania.

Jenerałowa już ssła palec, wpatrując się jednocześnie w jenerała jak wódz w ofermę batalionowego, którego ma wysłać po kochankę. Gdy nagle coś wańnęło. Otworzyły się drzwi karety.

— Matko Boska! — wrzasnęła jenerałowa. W środku na podłodze już leżała Zuzanna, która ledwo tylko dojechała do świadomości, skoczyła w róg karety jak wiewiórka.

— Co to jest? — wskazała palcem jenerałowa jakby zobaczyła odrażającą ropuchę i sama wtuliła się w drugi róg karety. Obok drzwi galopował oficer, spocony z przerażenia, najwyraźniej także gotując się do katapultowania.



— A po co ci to wiedzieć? — gdała sucho, ale w jej głosie dał się odczuć ton lubieźności. Za każdym razem, gdy jenerał coś przeszkrobał, wiozła go do jego rodzinnych włości. Włóci? Pożal się Boże. Jedna podupadła wioszczyzna. Obłożona sekwestrami i długami hipotecznymi, której by nikt nawet za dopłatą nie kupił.

— Znowu mnie tam wiesz? Wiesz, jakie to dla mnie traumatyczne?

— Wiem — ucięła sucho. — Ty cyniczny łowco posagów.

Lubieźność wisiła jednak w powietrzu. Te wycieczki kończyły się bowiem spazmatycznym szczytowaniem jenerała w starej zakurzonej sypialni. Podczas gdy jenerałowa dusiła się ze szczęścia. Z tym że musiała przez cały czas potrząsać sakiewkami. Nikt nie lubi żyć ze świadomością, że traci czas.

rażona tuliła się w swym kącie rozglądając się wokół z trwogą jak wiewiórka w płonącym lesie. Jenerał miał ochotę wziąć jej dłoń i pogłaskać. Powiedzieć, nie martw się, jestem z tobą. W tej sytuacji jednak zreflektował się, jego własne życie mogło się okazać niewiele warte. I wtedy jaśniepani w bezwarunkowym odruchu protestu wrzasnęła:

— Tak będziesz siedział!

— A co mam robić? — odciął się jej przytomnie jenerał.

— Ty impotencjo!

Skulił się w sobie. Rzeczywiście był tylko marnym łowcą posagów (złowił tylko jeden posag), szczytującym po starych sypialniach. Masochistą przebiegającym swe kochanki w perły swej żony, która wrzeszczała wzywając go jak wyżej.

— Trzeba coś zrobić — jęknęła błagalnie Zuzanna. — Oni mnie normalnie...

Dragon i pędzili za kareją jak wściekłe psy. Finał był prosty do odgadnięcia.

— Oddaj sakiewki! — krzyknął jenerał w błysku świadomości. Podobny oślnił kiedyś Archimedes.

— Nigdy! — zaperzyła się jaśniepani odgadnawszy wreszcie, że jej przynajmniej ze strony dragonów nic nie grozi.

— Oddaj sakiewki wywłoko! — jenerał runął na nią jak wiosenna burza. Zuzanna, która miała dość bystre podejście do rzeczywiści, wykręciła jej rękę. Wkrótce jenerałowa, którą dzielna para trzepnęła zdrowo o twarzą ścianę karety, przestała się liczyć w tej grze.

— Lokaj z kozła!

Lokaj wyrzwał na jenerała sceptycznie.

— Chcesz, żeby cię ustrzelili z muszkietu?! — zapytał jenerał.

Lokaj, który wychował się w trzeźwej rodzinie, trzeźwo ocenił sytuację. Dokonując ekwilibrystycznych wyczynów i mało nie oberwawszy batem od wymachującego nim stangreta, jenerał zdołał podać sakiewki na górę.

— Zaległy żold za trzy miesiące! I premia trzy miesiące wprzód! Z kozła! Masz ich przekonać! — wykrzyknął jenerał i z uczuciem ulgi osunął się do wnętrza karety. Sposób, w jaki Zuzanna na niego popatrzyła, obudził w jenerale pewien, dotąd mu nie znany, rodzaj dumy. Po chwili w drzwiach pojawiła się zwisająca w dół głowa trzeźwego lokaja.

— To ma wystarczyć? — powiedziała sceptycznie głowa.

— Za każdy brakujący dukat dostanę dwa dukaty odsetek za zwłokę.

— Wsadzą mnie na pał.

— To Szwajcarzy. Jak im będziesz głęził o odsetkach, zgodzą się na wszystko. Nie ma czasu do stracenia.

Głowa lokaja zniknęła, a po chwili jego postać rymnęła na drogę wznosząc tuman kurzu.

— Pozbierał się... — wykrzyknęła wesole Zuzanna.

— Wiedziałem — odpowiedział jenerał, chociaż tylko modlił się w duchu, by poseł karku nie skręcił. Przez chwilę jeszcze nasłuchiwał niepewnie, ale wkrótce tętent kopyt uciekł w oddal. Jednym słowem: byli uratowani. Zuzanna rzuciła się jenerałowi na szyję. To była ta pierwsza chwila w jej życiu, gdy poczuła coś dziwnego, zadziwiającego. Tak jej było lekko i brzemienne zarazem. Podobnie było z jeneralem i chociaż miał już blisko pięćdziesiątkę w tej chwili dziwnej, promiennej, wolał o tym nie pamiętać. Po raz pierwszy w obliczu trudności rwał się całym sobą do innego łona niż dotąd. Był już inny. Jego uczucia nie miały być może przyszłości... Z socjologicznego punktu widzenia to już w ogóle szkoda gadać, że nie było wówczas żadnych perspektyw, ale miłość zawsze ma pierwszeństwo. Pamiętajmy o tym.

— Zrób coś! — domagała się jenerałowa.

Jenerał wyrzwał nieufnie przez drzwi, blokując tym samym drogę dla oficera. Ponieważ ten zdążył już wysunąć nogi ze strzemion, było już za późno. Zgubił go szacunek dla hierarchii społecznej. Nie chcąc skakać na wyższego rangą, oficer zwał się pod koła pędzącej karety.

— Powiniennem być mianować idiotę feldmarszałkiem — pomyślał jenerał. Za nimi pędziło stado wściekłych dragonów i paliło z bandoletów. — Nie jest dobrze — pomyślał jenerał i schował się do karety. Zuzanna nadal prze-

Eugeniusz Biskup

Czar ulicy Krochmalnej

ISAAC BASHEVIS SINGER: „Miłość i wygnanie. Wczesne lata. — Wspomnienia”. Przełożył Lech Czyżewski. Wydawnictwo Dolnośląskie — Wrocław 1991.

Singer opisuje ją wielokrotnie w swoich książkach. Jest ta ulica razem utraconym, który nagle przypomniał o swoim istnieniu czy to w Nowym Jorku czy w Izraelu, czy w innych jeszcze miejscach na świecie; bo świat tylko wtedy jest prawdziwy, piękny i godny pożądania, gdy stał go na ulicy Krochmalnej. A ponieważ jest ona już tylko fantazmatem, duchem, choć jeszcze nie wampirem, świat pozostanie na zawsze już niedoświadczony. Autobiografia Singera, jak każda książka o sobie samym z innej epoki, opiera się na prostej tęsknocie za dzieciństwem i wczesną młodością i pod tym względem *Miłość i wygnanie* niczym specjalnym nie różni się od wielu podobnych autorskich zapisków; ale ma też w sobie coś zupełnie szczególnego, zasługującego na bacniejszą uwagę. Z pewnym trudem dochodzi do naszej świadomości fakt, iż Singer relacjonuje nam swoją historię rozgrywającą się w międzywojennej Warszawie. W tej samej oczywiście Warszawie, gdzie królowały „Wiadomości Literackie”, szumiała „Ziemiańska”, Schulz odwiedzał Nalkowską, młody Gombrowicz stroił miny przy kawiarzynie stoliku, Dąbrowska jeździła na łyżwach i pisała *Noce i dnie*, a dwaj pracownicy radiowi, panowie Miłosz i Czechowicz z trudem powściągli ziewanie i myśleli, jak by tu urwać się z biura. Kiedy zatem ostatnia cyganeria warszawska i ostatnie pokolenie młodzieży wychowanej w kawiarniach i salonach zmierzalo ku apokaliptycznemu przeczuciu, Singer żył tak, jakby ten świat w ogóle nie istniał. A przecież już wtedy zaczynał pisać, obracał się w żydowskim środowisku literackim, jego starszy brat znany był jako pisarz. Gdyby więc odwrócić sprawę? To oni, tamci, żyli tak, jakby Singera w ogóle nie było?

Bowiem nie ulega kwestii, iż roz-

dział pomiędzy Polakami a Żydami (na dodatek piszącymi w jidysz) był stanowczy i te dwie formy narodowo-kulturowo-obyczajowe doskonale się bez siebie obywateli. Ambicją pisarzy żydowskich była w pierwszym rzędzie asymilacja, co w tym wypadku oznaczało wybór języka polskiego. Pozostanie przy jidysz skazywało na izolację z wyboru, zaś świat żydowski mógł wnikać w świat polski tylko mitologicznie przetrworzony. O tym za chwilę. Zatem nie ma Singera. Nie ma go nie tylko dla Brezy, Andrzejewskiego, Nalkowskiej, ale również dla Adolfa Rudnickiego czy Zuzanny Ginczanki. Jego świat, ich świat ma prawo głosu wtedy tylko, gdy służy jako budulec fantastycznej mitologii. Słowem, to Schulz wchodzi na salony i do kawiarni, choć tematyka *Sklepów cynamonowych* harmonijnie przystaje do egzotyki ulicy Krochmalnej. Wygnanie Singera zaczyna się, jak myśla, na wiele lat przed jego wyjazdem do Ameryki, jego początek sięga deklaracji składanych w autobiografii, a dotyczących poglądów prawniczych, konserwatywnych, czasem nawet syjonistycznych. Gdyby Singer był wówczas Żydem lewicującym, jego nazwisko zapewne przemyciłoby się przez jakieś polskie konteksty, po wojnie chociażby. Ortodoksyjny i antykomunistyczny musiał ten swój wybór potraktować jako niezmienny i ostateczny, co zresztą uczynił. A przecież jego życiorys jest bardzo Schulzowski, spełnia zatem określone wymagania pewnej uniwersalnej, w naszym pojęciu, miary bycia Żydem i twórcą zarazem. Dlaczego tak sądzi?

Singer powiada, iż autobiografia jego to zwierzenia solipsysty. Uwaga ta trafia w sedno problemu, aczkolwiek wydawać się może oczywista: przecież każdy lub prawie każdy tekst o takim charakterze układa się ściśle

wokół osoby swojego autora. Ale wżajemne sprzężenie „ja — świat” różne przybiera formy i porcje stosownego obiektywizmu wobec wydarzeń zewnętrznych urastają czasem do pokaźnych rozmiarów. Wtedy wolno nam mówić o świadectwach epoki.

Przypadek Singera jest przypadkiem skrajnego egotyzmu, który on sam nieco bardziej beznamiętnie nazywa właśnie solipsyzmem. Ego pisarza panuje nad rzeczywistością historyczną, która przecież była burzliwa, konfliktowa, rozdarta wewnętrznie. Zresztą Singer doskonale widzi i ocenia ten porządek historyczny: wielki kryzys, narodziny dwóch totalitaryzmów, zagrożenie ze wschodu, polski antysemityzm istniejący oczywiście jako figury sceny historiozoficznej w jego autobiografii. Singer z tamtych lat jest żydowskim katastrofistą trochę przypominającym Wata z *Bezrobotnego Lucyfera*. W tym szalonym świecie, który zmierza ku własnej zagładzie, żyją, powtórzy, wraz z Singerem, Miłosz, Czechowicz i Schulz. Tyle że Singer żywi wobec owego świata uczucia wyraźnie antyspołeczne, nie trwoży się nim nadmiernie i nie chciałby go naprawić za każdą cenę. Hierarchia bowiem jest inna, węzły życia w odmiennych miejscach zostają zawiązane. I one właśnie przywołują na myśl porządek Schulzowski. Jego centrum zajmuje postać ojca, tutaj zaczyna się duchowa inicjacja. Mądrość ojca to wzór, z niego wysnuwają się dalsze plany: mistyka żydowska, filozofia, sprawy ostateczne. Zatem początek to ojciec-rabin i miasteczko Radzymin, zaś siła tej inicjacji nigdy nie będzie miała ulec osłabieniu. Dojrzały Singer pozostanie we władzy tego wzoru (podobnie jak Schulz) pomimo zmiennych kolei życia.

Obok niego zaś drugi wzorzec istnienia: poprzez kobiety, seksualizm, miłość. Nie podlega on deformacji, jak ten Schulzowski, chociaż u obu pisarzy rola, jaką odgrywa, wydaje się podobna. Połączone ze sobą — erotyka i mistyka — pozwalają zepchnąć stanowczo na drugi plan te wszystkie zagrożenia, jakie przynosi ze sobą współczesność podporządkowana obrotom historii. Singer jest katastrofistą i pesymistą w takim natężeniu, w jakim wymuszają taką postawę dominanty osobistego, prywatnego losu.

„Na długo zanim zacząłem pisać (...) zaciekało mnie pytanie: Co odróżnia jednego człowieka od drugiego? Za-

gadnienie indywidualności stało się dla mnie centralnym problemem”. To zdanie, pozornie niezbyt pobudzające, otwiera *Miłość i wygnanie*. A jednak uznać je wolno za klucz do tej książki, przesadzający o jej szczególnym wyglądzie. Singer, pisząc swoją autobiografię z perspektywy czasu, wierzył w każde małe wydarzenie, w romans bez przyszłości, w dzień bez perspektywy. Mówiąc mniej górnolotnie: deklaracja solipsyzmu nie została przyobleczonej w kształty wydarzeń wzniosłych. Singer rezygnuje z mitologizacji tak pożytecznej przy pisaniu życiorysu literackiego. Syn rabina, pisarz języka jidysz, emigrant, noblista — te wszystkie role miały na zawsze pozostać równie ważne. Egotyzm chroni przed literackością i na tym, między innymi, polega wyjątkowość Singerowej biografii.

Ulicą Krochmalną — w Izraelu, Ameryce, Argentynie, Warszawie, Paryżu — przechadza się Żydzi w chałatach i jarmułkach, stare Żydówki w perukach sprzedają figi, daktyle i makagigi, pobożni rzemieślnicy i krawcy studiuja święte księgi, żydowscy chłopcy mają długie, kręcone pejsy, za oknami niskich, parterowych mieszkań płoną świece szabasu. To jest obraz z zewnątrz, wrażenie przechodnia, obserwacja podyktowana lekturą, książką. Ulica Krochmalna jest wiecznym, żydowskim teatrem — „zawsze granym”, jak napisał pod koniec życia Adolf Rudnicki. Zatem *Miłość i wygnanie* to również inscenizacja misterium, którego dekoracje są wciąż takie same. Ale to nie byłby cały Singer. Bo sfera miłości w tej autobiografii grawituje w stronę operetki, symbol może zmienić się w frywolny kostium, zaś nostalgiażny pejzaż uliczny w podejrzaną egzotykę wynajmowanych na godziny pokojów.

Nurt misteryjny i nurt jarmarczny, nurt pierwszorzędny i nurt drugorzędny nie przeszkadzają sobie. Młodością wyznawcą świętej wiary żydowskiej jest również uczniem w szkole miłości niekoniecznie wzniosłych, jego wyzywający libertynizm co raz wchodzi w konflikt z upragnioną świętością. Czar ulicy Krochmalnej, który idzie za nim przez całe dorosłe życie to zbiór wspomnień tyleż szlachetnych co zgoła dwuznacznych.

Marta Wyka

„Patrząc w oczodoły historii”

LESZEK SZARUGA: „Po wszystkim”. Oficyna Literacka, Kraków 1990

W serii krakowskiej Oficyny Literackiej ukazał się ostatnio tomik poezji Leszka Szarugi: *Po wszystkim*. Spośród zamieszczonych w nim 42 wierszy wiele drukowanych było już wcześniej w tomikach „drugobiegowych” w latach 80. (m. in. w tomach: *Przez zaciśnięte zęby* (1985), *Mgła* (1987) czy *Nie mówcie Europa* (1988)).

Autor debiutujący w prasie literackiej u schyłku lat 60. — związany był później z pokoleniem Nowej Fali, nigdy jednak, jako poeta, nie zdobył sobie takiej popularności jak R. Krynicki, S. Barańczak czy A. Zagajewski.

Głównym celem poezji Pokolenia 68 było obnażenie chorej i zakłamanej rzeczywistości socjalistycznej Polski lat 70. W manifestach programowych jako naczelne zadanie poeci stawiali sobie nie tyle budowanie pięknych, poetyckich fraz i dobieranie trafnych metafor, co przede wszystkim formułowanie postulatów etycznych: „Powiedz prawdę, do tego służysz...” — pisał w głośnym wierszu Adam Zagajewski. Poezję pierwszej połowy lat 70. zdominowała „strategia” nieufności i podejrzliwości. Poeta przybierał rolę sędziego, obnażając pozory socjalistycznej „nie-rzeczywistości”. W miarę upływu czasu sytuacja zmieniła się jednak. Poezja Nowej Fali przeszła ewolucję. W miejsce postulatów „mó-

wienia wprost”, pojawiła się problematyka estetyczna (Zagajewski), metafizyczna (Barańczak) czy etyczno-religijna (Krynicki).

Kiedy czyta się najnowszy tomik Szarugi, można dojść do wniosku, że poeta ten nie wyzwolił się — jak zrobili to wcześniej wymienieni autorzy — z „nowofalowej” maniery osądzenia świata. Rozszerzony zostaje tylko obszar, poddany krytycznemu oglądowi i bardzo surowej, niemalże jednoznacznie katastroficznej, ocenie: nie chodzi już o „tu i teraz” socjalistycznego kraju (żyjemy przecież w innej rzeczywistości), ale o całą cywilizację europejską. W swych najnowszych wierszach Szaruga nie ogranicza się bowiem do poetyckiej konstatacji przemian historycznych i politycznych, ale przede wszystkim zastanawia się, kim jest on sam, kim jesteśmy my i czym stała się cywilizacja kultury śródziemnomorskiej po doświadczeniach kończącej się powoli epoki, napiętnowanej „zgiełkiem wszystkich Historii”. Odpowiedź jest pesymistyczna. Okres XX-wiecznych totalitaryzmów potrząsa autor jako apokalipsę zrealizowaną, prawdziwy koniec cywilizacji europejskiej.

Motyw „finis Europae” nie jest zresztą czymś nowym w poezji Szarugi:

Europa nie milczy, Europa zdycha w jęzgotcie żywych Europa płacze po sobie jak dziecko gdy dorasta i

zaczyna widzieć jak się wszystko kończy.

...pisał poeta w jednym z wcześniej opublikowanych wierszy.¹

Apokaliptyczne obrazy zagłady i końca pojawiają się wielokrotnie w najnowszym tomiku; budowane najczęściej wokół tak charakterystycznej dla poezji katastrofistów metafory „ciemnego (czarnego) słońca”, jak choćby w wierszu *Taniec*:

Trwa taniec śmierci. W szklanej kuli
Kotuje miłość, kotuje nienawiść,
Dwa odłamki wieczności. Czarna
Podnosi się nad nami. Już ostatni raz.

Apokalipsa w tradycji chrześcijańskiej oznacza ostateczne wypełnienie, jest końcem dziejów. Jeśli tak jest, to jakże można żyć po tym co stało się w Oświęcimiu, katyńskim lesie czy kambodżańskiej dżungli?

Mgła
Znaczeń na drodze
Losu. Idziesz
Po omacku. Uktadasz
Odpowiedzi
Na nie istniejące pytania. Odpowiadasz
Na chybił trafił:

Zyjesz
Śnisz.

(Fragment jednej nocy)

Wyda się że poeta nie ma złudzeń, jak być może mają je mieszkańcy krajów Europy Środkowo-Wschodniej czy politycy ogłaszający początek nowej ery. Spojrzenie poety jest wnikliwsze, dociera do źródeł choroby („barbarzyńcy wychodzą spośród nas”), stąd jego prawda jest gorzka — domniemany początek, tak naprawdę jest może tylko wypełnieniem agonii...:

Czarne słońce wysuwa się zza horyzontu
Zaczyna się dzień pierwszy nowego porządku
(Dzień pierwszy)

Co w takim razie pozostaje? Fatalizm i nihilizm, płynące z przeobrażenia naga prawda, której nie dostrzegają inni, mniej świadomi? Fragmenty prowadzonej nocą poetyckiej kroniki, traktowanej jako autoterapia? Dialogi ze zmarłymi lub żyjącymi poetami i poezją, która „Jeszcze czuwa na brzegu nicości” i poprzez słowo „wprowadza ku światłu”? A może tylko stoicka świadomość śmierci i konieczności zaakceptowania końca? Chyba nie. Pozostają bowiem jeszcze chwile nadziei, nagle momenty olśnienia, bliskie mistycznej kontemplacji, dzięki którym można pokonać czas i Historię zmierzającą ku śmierci, jak w wierszu *Spotkanie*, który zamyka tomik:

I znów się spotykamy. Przypadkiem
Dotykasz mojej dłoni. Twój uśmiech
Otwiera nowe przestrzenie. Jesteś tym,
Który jest. Patrząc jak odchodzisz
Na drugą stronę ulicy i znikasz
W tłumie. Tymczasem ja
Podnoszę dłoń do ust. Jestem tym,
Który przemija. Okrucem pamięci.

Warto chyba zastanowić się nad gorzką prawdą płynącą z wierszy Szarugi, choćby dlatego, by umieć sformułować słowa własnej nadziei, „tu i teraz”, to znaczy: „po wszystkim”.

Marek Bernacki

¹ Zbięg w: *Przez zaciśnięte zęby*, *Przedświt*, Warszawa 1985.

Piękny świat Abrahama Masłowa

ABRAHAM H. MASLOW: „Motywacja i osobowość”.
Przełożyła Paula Sawicka, Instytut Wydawniczy „PAX”,
Warszawa 1990.

Abraham Maslow należy do najbardziej w Polsce znanych przedstawicieli tzw. „psychologii humanistycznej”. Niedawno wydana *Motywacja i osobowość*, to już druga przetłumaczona praca tego autora. Jego wcześniej u nas wydana książka *W stronę psychologii istnienia* spotkała się z dużym zainteresowaniem czytelników i szybko zniknęła z rynku księgarskiego.

Wszystkie niemal książki — a pisali ich wiele — są poświęcone właściwie jednemu zagadnieniu: kim jest lub też kim może być „człowiek zdrowy” czy też — używając określenia Masłowa — „człowiek samorealizujący się”. Także i omawiana książka, choć pozornie traktuje o zagadnieniach metodologicznych i ogólnych problemach psychologii, w gruncie rzeczy za swój zasadniczy przedmiot obiera „prawidłowo rozwijającego się”, „realizującego swą naturę”, „szczęśliwego” człowieka. Bo właśnie z samej swej istoty człowiek może być szczęśliwy, jeżeli tylko warunki zewnętrzne nie uniemożliwią mu tego. A także, co ważniejsze, ów modelowy człowiek, stanowiący cel i przedmiot zainteresowania psychologii humanistycznej jest „z natury” głęboko moralny, chociaż jego rozumienie moralności nie zawsze pozostaje w zgodzie z panującymi w danej epoce i kulturze obiegowymi przekonaniami.

Czy jest to utopia, podobna do tej, jaką przedstawiał kiedyś swym krytykom i wielbicielom Jan Jakub Rousseau? Zdaniem Abrahama Masłowa, ten rodzaj stwierdzeń ma swoje uzasadnienie w badaniach spełniających (przynajmniej do pewnego stopnia) wymogi, jakie badaczowi stawiają nauki współczesne. Sama koncepcja „człowieka zdrowego” jest, co prawda, pewną idealizacją, modelem, opiera się jednak na badaniu tych właściwości, jakie posiadają konkretni ludzie, których w danym społeczeństwie można uznać za „zdrowych”. Jeżeli dotychczasowa psychologia nie była w stanie jej wypracować, to przede wszystkim dlatego, iż przedmiotem jej zainteresowania była patologia, ludzie chorzy. Zrozumienie motywów i celów zachowań ludzi zdrowych nigdy nie będzie możliwe, jeśli — jak pisze Maslow — nie będzie się analizowało ludzi „zdrowych i silnych”, jeśli nie będzie się badać „najważniejszych spraw najwię-

kszych i najwspanialszych postaci w historii ludzkości”.

Tym, co najbardziej — jak sądzę — fascynuje w książkach Masłowa (a także innych przedstawicieli psychologii humanistycznej) jest optymistyczna wizja natury ludzkiej i możliwości, jakie są dane właściwie każdej jednostce. Można by wprawdzie zauważyć, że nie jest to we współczesnych koncepcjach psychologicznych nowość. Już poprzednik psychologii humanistycznej Erich Fromm wskazywał, że człowiek ze swej istoty zdolny jest do tego, aby mógł uczynić sam siebie istotą kochającą, twórczą, zdolną do radości.

Aby jednak można było w pełni zrealizować wszystko, co niejako jest nam wszystkim od samego początku dane, musza, jego zdaniem, powstać takie warunki kulturowe, człowiek musi rozwijać się w tak sprzyjającym otoczeniu, aby nie powstała w nim frustracja, agresja, skłonność do destrukcji — a właśnie takie cechy rozwija w nas „zła cywilizacja”, „chore społeczeństwo” współczesnego świata.

Otóż koncepcja Masłowa jest znacznie bardziej — jeśli tak można powiedzieć — pocieszająca. Człowiek „zdrowy”, człowiek samorealizujący się jest znacznie bardziej odporny na niekorzystne warunki zewnętrzne, bardziej niezależny od innych ludzi, ich opinii i przekonań, od nie sprzyjającego środowiska. Potrafi, jak pisze Maslow, „utrzymywać względnie pogodę ducha pośród okoliczności, które doprowadziłyby innych ludzi do samobójstwa”. Nie jest to usprawiedliwienie dla współczesnej kultury Zachodu, która, podobnie jak Fromm, Maslow często oceniał dość surowo, jest to jednak uznanie, iż, przynajmniej teoretycznie, każdemu człowiekowi dana jest możliwość samorealizacji.

Kimże więc jest ów „człowiek samorealizujący się”? W wielu swoich tekstach Maslow wymieniał całe zestawy cech, pozwalających na uzyskanie modelowego wizerunku „człowieka zdrowego” czy też „człowieka uzyskującego samorealizację” — oba te określenia często występują zamiennie.

Nie sposób przytoczyć tu całego katalogu tych właściwości. Jednak niektóre z nich są we wszystkich pracach Masłowa zawsze wysuwane na plan pierwszy. Spróbujmy dokonać wyboru i przypatrzeć się, jak wygląda taka modelowa osobowość.

Bardzo istotną cechą jest umiejętność akceptowania samego siebie. Na pierwszy rzut oka jest to dość zaskakujące. Kojarzy się z egoizmem, brakiem samokrytycyzmu, z nieumiej-

nością przyznania się do błędów. A jednak o tym, że właściwy stosunek do świata i miłość do innych ludzi muszą wynikać z pozytywnego stosunku do własnej osoby wiedzieli się od dawna („miłuj bliźniego, jak siebie samego”). Większość członków naszego neurotycznego społeczeństwa jest, jak sądzi Maslow, skłonna do nieustannego i nieuzasadnionego poczucia winy i niechęci do własnej osoby, co prowadzi do postaw obronnych i agresji wobec innych ludzi. Człowiek „zdrowy” zdaje sobie sprawę z niedoskonałości ludzkiej natury i godzi się z nią, podobnie jak potrafi zaakceptować fakt, że świat „jako całość również nie jest doskonały. Zarówno własna osoba jak i świat mogą i powinny być zmieniane i udoskonalane, ale tylko w pewnym zakresie, a niepowodzenia w tym względzie nie powinny nas martwić.

Wszystko to wiąże się z kolejną właściwością ludzi uzyskujących samorealizację. Jest to szczególna zdolność poznawania rzeczywistości taką, jaką ona jest, a nie jaką chcielibyśmy, żeby była. „Ich oczy widzą to, co jest przed nimi, nie deformując rzeczywistości różnego rodzaju zniekształcającymi lub koloryzującymi okularami”. Maslow często określa ten zarówno poznawczy, jak i emocjonalny stosunek do świata terminem „taoistyczny”, nawiązując do chińskiej myśli filozoficznej. Jest to odnoszenie się do świata i innych ludzi w sposób możliwie mało ingerujący, polegający na „pozwoleniu rzeczom, by były tym, czym są”. Oznacza to więc zarazem pozytywny stosunek do wszystkiego, co odmienne, nieznanne, niezrozumiałe. Stojąc przed problemem, który trzeba rozwiązać, „ludzie zdrowi” są, jak pisze Maslow, zdolni do „spokojnego nieuporządkowania, anarchii, chaotyczności, nieokreśloności, wątpliwości, niedokładności, nieścisłości (tego wszystkiego, co w pewnych momentach jest w nauce, sztuce lub w życiu w ogóle nader pożądane)”.

Jak widać, człowiek dążący do samorealizacji jest jednostką twórczą i do tego faktu wszyscy przedstawiciele psychologii humanistycznej przywiązują dużą wagę. Istotny, zdaniem Masłowa, jest przy tym fakt, iż „twórczość” nie musi oznaczać wielkich osiągnięć w dziedzinie sztuki czy nauki. Twórczością może stawać się każda prosta, codzienna działalność, jeśli wykonywana jest spontanicznie, nie schematycznie i z poczuciem, iż robi się to, co jest zgodne z indywidualnymi uzdolnieniami i zamiłowaniem. Twórczością może więc być aktywność sportowa, wychowywanie dzieci i gotowanie obiadów. Przy takim pojmowaniu twórczości jest więc oczywiste, że wielcy i znani twórcy wcale nie zawsze byli ludźmi dążącymi do samorealizacji, przeciwnie, uprawianie sztuki często było jedynie wyrazem lęku, chęci dominowania, kompensowania wrodzonych ułomności.

Wśród innych wymienianych cech znajduje się też umiejętność nawiązywania prawidłowych stosunków z innymi ludźmi, przy równoczesnej nie-

zależności od nich, a także — co być może jest najistotniejsze — zdolność do miłości. Wreszcie trzeba wspomnieć o jeszcze jednej sprawie, najbardziej kontrowersyjnie przyjmowanej. Chodzi tu o zdolność do szczególnego rodzaju przeżyć, które Maslow nazywa „doświadczeniami szczytowymi”, a które w pewnym uproszczeniu można by zaliczyć do przeżyć mistycznych. Nie są one — sądzi Maslow — związane z żadnym określonym rodzajem przekonań religijnych, a jedynie prowadzą do „utrąty własnego ja”, do „roztopienia się” w czymś, co znajduje się poza człowiekiem. Tego rodzaju przeżycia, o różnym stopniu nasilenia są, jak pisze Maslow, dostępne wielu ludziom, chociaż niewiele osób do nich się przyznaje, czy też chce o nich mówić.

Ostatecznie uzyskujemy więc krzepiący serce obraz ludzkich możliwości, realizowanych w konkretnym, współczesnym społeczeństwie przez zwykłych ludzi, mądrych, pogodnych i szczęśliwych. Czytelnikowi książki mogą jednak przyjść do głowy ponure refleksje: Jeżeli tak jest, to dlaczego właśnie ja muszę przeżywać lęk, niepokoje i stresi, przeniknięty obawą o dzień jutrzejszy, rozmyślając o niewesołych perspektywach starości, choroby i śmierci, marnując swoje wrodzone zdolności w byle jakiej pracy? Czy mogę to wszystko zmienić własnymi siłami i stać się takim właśnie radosnym, spokojnym, twórczym człowiekiem?

Maslow nie odpowiada wprost na tego rodzaju pytania. Dowiadujemy się jednak z jego rozważań, że aby człowiek mógł osiągnąć samorealizację, muszą w jego wczesnym okresie życia zostać spełnione pewne warunki, w sposób oczywisty niezależne od niego. Chodzi tu przede wszystkim o zaspokojenie podstawowych potrzeb dziecka i to nie tylko takich, jak potrzeba jedzenia czy snu, lecz — a może przede wszystkim — takich jak potrzeba poczucia bezpieczeństwa czy miłości. Tak więc, każde dziecko potencjalnie zdolne jest do samorealizacji, ale też bardzo szybko możliwość ta może zostać mu odebrana. Niewłaściwe wychowanie, frustrująca kultura utrudniają realizację naturalnych możliwości.

Oczywiście, w przekonaniu Masłowa, człowiek, także dorosły, także znerwicowany i „chory” może się zmienić. Jednak niezwykle rzadko może się to dokonać bez pomocy z zewnątrz. Bo wiem — jak stwierdza Maslow — ludzie znerwicowani nie wiedzą, czego chcą, a nawet jeżeli wiedzą, nie mają dość odwagi, by dokonać prawidłowego wyboru. Potrzebna jest więc pomoc: terapeuty, guru, mistrza — pomoc drugiego człowieka, który lepiej od nas potrafi zrozumieć przyczyny naszych trudności i znaleźć właściwe rozwiązanie. Pozostaje nam więc tylko optymistyczne przekonanie, iż któregoś dnia go spotkamy. Optymizm bywa podobno siłą sprawczą.

Beata Szymańska

Książki nadesłane

RYSZARD SOBIEŚCZAŃSKI: „Ty i ja”, Wydawnictwo KWADRYGA, Warszawa 1991.

Dwujęzyczny, piękny edytorsko, zbiór wierszy poety urodzonego w Toruniu, należącego do dwóch kultur: niemieckiej i polskiej.

MICHAŁ SIEWKOWSKI: „Nowe ikony”, Biblioteka Oddziału Bydgosko-Toruńskiego SPP, Bydgoszcz 1991.

Drugi tom wierszy autora (rocznik 1957) urodzonego w Inowrocławiu, laureata kilku konkursów poetyckich.

WOJCIECH BANACH: „Czarna skrzynka”, Biblioteka Oddziału Bydgosko-Toruńskiego SPP, Bydgoszcz 1991.

Nowy tom interesujących wierszy autora z Bydgoszczy, który opublikował wcześniej dwa arkusze oraz dwa zbiory poezji w Wydawnictwie Morskim.

KAZIMIERZ JULGA: „Godziny”, Biblioteka Oddziału Bydgosko-Toruńskiego SPP, Bydgoszcz 1991.

Wybór z czterdziestoletniego dorobku poetyckiego liryka, malarza i fotografa.

KAZIMIERZ HOFFMAN: „Trwająca chwila”, Biblioteka Oddziału Bydgosko-Toruńskiego SPP, Bydgoszcz 1991.

Kolejny interesujący zbiór wierszy cenionego poety i eseisty, prezesa Oddziału Bydgosko-Toruńskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

DIMITRIOS NIKOLAIDIS, „Tyle mi starczy”, Ośrodek Kultury Regionalnej, Bydgoszcz 1991.

Drugi, po tomie *Odys i ja*, zbiór poezji liryka urodzonego w 1949 roku w Warszawie, którego przodkowie pochodzili z greckiej Macedonii.

JOLANTA NOWAK-WĘKLAROWA: „Buntownic, Opowieści o miłowaniu”, Biblioteka Roczniaka Nadnoteckiego, Piła 1991.

Zbiór siedmiu zajmujących opowiadań, będący debiutem prozatorskim poetki, nauczycielki z Wągrowca.

ZOFIA GARBACZEWSKA-PAWLKOWSKA: „Alfabet tajemnic”, nakładem autorki, Kraków 1991.

Udany zbiorek nastrojowych miniatur lirycznych krakowskiej malarki.

JACEK GOLONKA: „Światłoczuły”, Oficyna Drukarska A. Spyra w Pszczynie, 1991.

Arkusz poetycki, będący zapowiedzią dwóch tomików oczekujących na druk w państwowych wydawnictwach.

TADEUSZ WYRWA-KRZYŻAŃSKI: „Świe dziecko. Wybór wierszy”, Bi-

blioteka „POEZJI”, Warszawa—Piła 1990.

Prawdopodobnie pierwszy (i na razie ostatni) z serii tomików, firmowanych przez miesięcznik „Poezja”. Interesujące wiersze i ilustracje autora.

BOGDAN ZAKRZEWSKI: „Ślaskie przygody Aleksandra Fredry”, Ossolineum, Wrocław 1991.

Zbiór interesujących esejów o Fredrze, szeroka dokumentacja źródłowa i fotograficzna.

WLADYSŁAW MATLAKOWSKI: „Wspomnienia z życia przeszłego i teraźniejszego (1850—1895)”, Ossolineum, Wrocław 1991.

Wspomnienia znanego chirurga warszawskiego, jednego z „odkrywców” Zakopanego, z talentem odmalowującego atmosferę dworów polskich na Ukrainie w 2. połowie ubiegłego stulecia.

Gilbert & George — sztuka bałwochwalcza

Anna Baranowa

Wystawę tę chciałoby się skrytykować — spróbuję jednak pisać o niej na klekczkach.

Chyba rzeczywiście żyjemy już w innym świecie, skoro Kraków stał się początkowym etapem ekspozycji objazdowej dwóch brytyjskich artystów, którzy w latach 80. wysunęli się na jedno z czołowych miejsc na światowej scenie sztuki. Obrazy kosmologiczne (*The Cosmological Pictures*) Gilberta & George'a opuściwszy krakowski Pałac Sztuki, będą pokazywane w renomowanych salach wystawowych Rzymu, Zürichu, Wiednia, Budapesztu, Hagi, Dublinu, Barcelony, Liverpoolu, Stuttgartu. Przed tym europejskim tournée był oczywiście Nowy Jork — aż dech zapiera długość i rozpiętość przewidzianej prawie na dwa lata marszrutu.

Do Krakowa trafiły obrazy Gilberta & George'a dzięki kontaktom małżeństwa krytyków Wojciecha i Anny Markowskich oraz niemałym zapewne pieniądzom włożonym w to przedsięwzięcie przez Fundację Maszchaba. Markowscy wraz z tą wysoce filantropijną instytucją już przed wakacjami poruszyli środowisko artystyczne Krakowa wystawą innego lodyńczyka, Alana Davie — inaugurując tym samym działalność „Galerii M” przy Kanoniczej. Tym razem jednak uderzenie było wielokrotnie, Gilbert & George w salach — cóż z tego, że obskurnych — Pałacu Sztuki to sensacja, jakiej miejsce to nie widziało niemal od półwiecza — od czasów słynnej wystawy nowoczesnych malarzy francuskich.

Cykl *Obrazów kosmologicznych* — składający się z 25 gigantycznych części — powstał w roku 1989. Artyści chcą widzieć w tym fakcie symboliczną zbieżność z „ogromnymi i wspaniałymi” zmianami, jakie dokonały się wówczas w Europie. Dlatego też powinniśmy zobaczyć je cały kontynent. Ich oglądnięcie — pisze w katalogu komisarz wystawy Rudi Fuchs — będzie z pewnością pasjonujące dla wszystkich w naszej nowej Europie, gdyż ich szczególna siła i niezależne piękno ma u swych źródeł głębokie pragnienie bycia wolnym — tak intelektualnie, jak uczuciowo.

Gilbert & George dopłacają do tych wielkich przedsięwzięć z własnej kieszeni. Mają coś z charyzmatyków. „Nie robimy sztuki dla pieniędzy, ale by zmieniła świat” — powiedzieli w jednym z wywiadów¹. Ich idea przewodnią od momentu, gdy spotkali się w roku 1967 jest „sztuka dla wszystkich”. To

bardzo podejrzanie brzmiące hasło pasuje ich w samym centrum problematyki awangardowej, mimo że się od awangardy odłączają. Chcąc swoją sztuką wkroczyć w życie, dzielą z większością artystów XX wieku utopijne przekonanie o możliwości powszechnego porozumienia. Przyjmują przy tym skrajnie egalityrystyczną wersję tej utopii. Zwracają się do zwykłego człowieka.

Gilbert & George chcą być normalni jak inni ludzie, jak ludzie z ulicy. Noszą niczym urzędnicy grzecznie przykrojone, identyczne garnitury, podkreślają swoje pochodzenie z niskiej klasy, boją się edukacji, zrezygnowali z nazwisk (bo nazwisko zobowiązuje), chcą budzić ogólne zaufanie. Jak jednak połączyć tę — nieczęstą w kręgach artystycznych — spolegliwość z innymi głoszonymi przez nich poglądami? „Artysta to, jak wierzymy, najpotężniejsza siła cywilizacji”... Gdzie jesteś szary człowieku? Obawiam się, że szlachetny w deklaracjach egalitaryzm Gilberta & George'a jest raczej pozą. Wystarczy popatrzeć na ich londyński apartament urządzony z wczesnowiktoriańską pompą, aby przekonać się, jak bardzo „przeciętność” jego mieszkańców jest stylizowana. Gilbert & George są mistrzami mimikry — upodobniają się do zwykłego człowieka, po to, by mu się przypodobać i w rezultacie — zawiadnąć.

Mimetyzm ten — wystudowany w każdym szczególe w stylu życia obu artystów — poziom wprost perfekcyjny osiąga w stylu ich dzieł. Sposób powstawania tych ogromnych, lśniących obrazów, o których skali reprodukcje dają bardzo słabe pojęcie jest tajemniczą pracownią, czy — jak kto woli — alkwymi, podobnie jak charakter związku ich twórców. Trzeba rzeczywiście imponującej pracowitości, wspartej bardzo nowoczesną techniką, aby z taką łatwością tworzyć całe cykle nadnaturalnej wielkości obrazów.

Seria „kosmologiczna” to — wedle formuły Rudi Fuchsa — obrazy „o nowym życiu i nowym odczuwaniu”. Jakież to nowe prawdy mają do zakomunikowania ci dwaj panowie, którzy zrosili się w jedno artystyczne ciało (i duszę)? Prześlanie ich twórczości wyrasta właśnie z doświadczenia, a może raczej przecucia pełni, jaką daje podobna symbioza. Można by im przypisać słowa Hölderlina: „Wyobrażałem sobie, że ubóstwo naszej natury przemieni się w bogactwo, jeśli tylko tych dwoje nieszczęślików stanie się jednym sercem, jednym i nierozdzielnym życiem, jak gdyby całe

zło egzystencji miało swój początek w zerwaniu pierwotnej jedności”².

Gilbert & George chcą być prefiguracją odzyskanej na nowo jedności. Występują zawsze razem, nigdy osobno, multiplikują swoje postaci tak, że w końcu sprawiają wrażenie (ważna rola mundurków!), iż są jednym i tym samym (*Doubles*, 338×335 cm). Podobnie jak w „żywych rzeźbach”, którymi zasłynęli na początku swojej kariery, w czasach gdy holdowano sztuce *performance*, tak samo i tu eksponują swoje sylwetki, swoje twarze zastygłe w hieratyczno-groteskowych pozach. Tyle że wówczas byli osamotnieni — jak śmieszne, wykonywane automatycznie ruchy bądź zniechęcone marionety. Teraz — w obrazach — otacza ich tłum pięknych chłopców. Są jak dwa ado-

wzrok (*Look*, 169×142 cm; *Seen*, 226×254 cm; *Lookers*, 226×444 cm) i inne zmysły.

Gilbert & George niosą dobrą nowinę homoseksualizmu. Wiem, że pisząc te słowa naruszam tabu w naszej krytyce artystyczno-literackiej. Oczywiście, nie mam przeciwko tej formie miłości ani przeciwko artystom, którzy ją wyznają, zwłaszcza gdy — jak Hockney czy Korolkiwicz — kreują swoje intymne, artystyczne wizje na własną wyłączność. Uniwersalistyczne zapędy Gilberta & George'a mogą jednak być przedmiotem kontrowersji. Ich panerotypym wymierzony przeciwko zastanym formom kultury nie jest dla mnie bynajmniej przejawem wolności, lecz nowego zniewolenia.

Gilbert & George wierzą, że „artysta (...) zmienia moralność świata”. Zbieżnie z teorią kultury Freuda czy Marcusa'a ich dążeniem jest uspołecznienie Erosa, odkrycie instynktów, zamiast ich tłumienia³. „Nieufornowane”, „otwarte” twarze ich modeli sugerują, jaki ma być ten powrót do archetypicznej pełni, do czasów pierwotnej niewin-

by dlatego, że świat Gilberta & George'a obywateli się bez kobiet?

Dzieje się tak można by przypuszczać za sprawą swojej mentalności, swoistej wizji świata, która dopuszcza łączność wszystkiego ze wszystkim (omawia ją rozlegle w katalogu Wojciech Markowski). Dlatego też Gilbert & George ukazują się jako ci, którzy jednoczą niebo i ziemię (*Skyscrapers*, 226×317 cm; *Topsy Turvy*, 338×1065 cm); dlatego budują swoje obrazy tak, aby współistniały w nich przemoc i niewinność, życie i śmierć, złowieszczy obraz cywilizacji i wizja pierwotnego ogrodu (*Here and There*, 253×497 cm). Tylko u nich możliwy staje się powrót do „wielkiej dziury” — edenicznego pragnienia z kwitnącą jabłonceką, do którego próbują się wciągnąć, skuleni jak embriony (*Big Hole*, 338×568 cm).

Jest to zaiste kosmologia w wydaniu popularnym — ustanawiająca uludę harmonii świata dzięki... stosowanej przez artystów technice. Wielbiciele tej sztuki twierdzą, iż Gilbertowi & George'owi, jak nikomu innemu wśród współczesnych artystów, udało się stworzyć kod łatwo czytelnych i dobitnie działających, a zatem uniwersalnych znaków. Przystępność i dobitność tej sztuki bierze się jednak w istocie z umiejętności potęgowania banału. Jest rodem z komiksu i reklamy. To właśnie wedle tej estetyki łączą się u Gilberta & George'a najbardziej nieprzystawalne porządki i formy; to siła plakatowego koloru wiąże ich obrazy w jednorodną całość. Owaj pierwotnych odczuć okazuje się raczej sztuką ostentacyjnych gestów i poz; rzekoma niewinność modeli staje się materiałem manipulacji i obiektem wizualnej konsumpcji.

Nie sądzę, aby proponowana przez Gilberta & George'a forma terapii miała się rozpowszechnić w nowej Europie — pomimo właściwego im poczucia misji. Inaczej uosobieniem nowego *Homo europaeus* zostaliby ci dwaj transwestyci — z wygolonymi głowami i w obcisłych sukienkach mini z pomarańczowego pluszu — którzy pojawili się obok Gilberta & George'a na krakowskim wernisżu. Podobno jeżdżą za nimi po całym świecie, stanowiąc przewrotny pendent, krzywe zwierciadło dla fakcie przyzwolonej w preżencji pary artystów.

Mnie ta perspektywa nie pociąga. Wybaczcie Panowie, Jakkolwiek wydawało się nam, że świat waszych obrazów „może być bardzo atrakcyjny dla kobiet”.

¹ Gilbert & George, *Musimy być jak idioci* (rozmowa Wojciecha Markowskiego). „Pawilon”, nr 1, 1991, s. 6-7.

² Cyt. za: René Girard, *La Violence et le sacré*. Paris 1972, s. 218.

³ Patrz: Jolanta Brach Czajna, *Etos nowej sztuki*. Warszawa 1984, s. 270 in.



rowane, budzące egzaltację bożyszcza.

Sztuka Gilberta & George'a jest na wskroś — ale w sposób bardzo przewrotny — antropocentryczna. Traktując własne wizerunki jako ośrodki większości kompozycji, kształtują kosmos na swój wzór i miarę. Chłopcy, których uwieczniają w tych obrazach, przyjmują ekstatyczne, często wyzywające pozy. Istnieją poprzez Gilberta & George'a. Dobijający pięćdziesiątki artyści magnetyzują, zawiązują

ności... gdy nie było jeszcze rozdziału pici. Świat Erosa — znów zgodnie z duchem Freuda — jest domeną męską. Ciekawe jednak, że w wydaniu Gilberta & George'a pozabawiony jest sprzeczności. Choć operują oni cytatami z wielkomięskiej rzeczywistości choć włączają w ikonografię swoich obrazów elementy okrutne, cyniczne, kojarzące się z brutalnością i gwałtem — to jednak wszystkie antagonizmy w tych panoramicznych kompozycjach się godzą. Czyż-

„Promotorowi” w odpowiedzi

(C.D. ze str. 2)

filu, znakomitego skądinąd, „Tygodnika Powszechnego” literatura stanowiła tylko fragment zainteresowań.

Jakoś więc pomieszały się memu polemieście proporcje, jak wtedy gdy omawiał w *Literary Galicia* motywacje przyjmowania (także przezeń) określonej opcji politycznej. A skoro nakłania mnie on do „wytknięcia i merytorycznego przedyskutowania” błędów książki, niech pozwoli, że „wytknę” jemu samemu takie zdanie z jego szki-

cu: „Prawie wszyscy należeli do partii” (w latach stalinowskich). Jest to tak oczywisty fałsz, że nie warto z nim polemizować. Natomiast tłumaczenie, że w jego pokoleniu, w latach 60., więc grubo po Październiku 1956, po rewolucjach Światy, po przemówieniu Chruszczowa na XX zjeździe KPZR, po niektórych publikacjach krajowych* i emigracyjnych, gesto przemianych z zagranicy, wstępowało się do partii „ze snobizmu” (?) i dlatego, że „nie miało się pojęcia o zbrodniach stalinowskich, represjach, Gulagu” itp. — jest albo przyznaniem się do nie-

wlarygodnej naiwności, albo samooklamywaniem się.

I jeszcze jedno: Stanisław Balbus stara się ex post wytłumaczyć intencje swoich protegowanych w kierunku dokonania „spolaryzowanego” jakoby wyboru przedstawionych postaci. Co się zdecydowanie mija z prawdą, wobec tego, że w znacznej większości nie podlegają one tej polaryzacji. A drwiącą i nie dotyczącą tematu uwagę o „niedzielnym kazaniach” wydobyl Balbus zapewne z lamusa przebrzmiałych argumentów. („Argumentów”?). Cóż, odbijają się one czasem taką wczorajszą czkawką.

Niechże mi też Stanisław Balbus nie stawia absurdalnego zarzutu co do stosowania cenzury a rebours, bo to nie ja byłem autorem czy choćby „promotorem” niezręcznie broniącej przezeń pozycji. To nie ja, lecz *Literary Galicia* skazuje na zapomnienie pisarzy tak barwnych i zasłużonych, jak Stefan Kisielewski, Antoni

Golubiew, Stefan Otwinowski czy Marian Promiński lub młodszych od nich, barwnych „krakusów”, jak — dla przykładu — Tadeusz Kwiatkowski, Marek Skwarnicki, Maciej Słomczyński, Jacek Stwora i in.

Kto tu więc „mnoży niebyty”? Na koniec muszę zmartwić Stanisława Balbusa, który sam sobie zechciał wystawić pochlebna laurkę; nie mogę — ku swemu żalowi — uznać jego tekstu ani za przekonujący, ani za całkiem uczciwy.

Leszek Elektrowicz

*) Czy trzeba poloniście przypominać takie pozycje, jak *Jeden dzień Iwana Denisowicza*, drukowany w „Polityce” i w „Zyciu Literackim”, *Morze Sargassa* Aleksandra Seibora-Rylskiego w „Nowej Kulturze”, publikacje w „Tygodniku Powszechnym”, w „Prostu” i inne, którym się udało przecisnąć przez sito cenzury...

Warszawka – sztuka z roku 1991

Małgorzata Ruda

W „Bagateli” obejrzałam spektakl dziwnością i anachronicznością swoją przekraczający wszystkie dziwne rzeczy, jakie udało mi się zobaczyć w naszym nekącym kryzysem teatrze. Reżyser i scenograf w jednej osobie – Stanisław Nosowicz przeniósł mnie nie bacząc na koszty w szczęśliwe lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte, w krajobraz strasznie polski, tuż po bitwie, która odbywała się obok czy może nawet w salonie Lilli Wenedy, co może już Wyspiańskiego czytala, a może tylko spektakl Krystyny Skuszanki oglądała pilnie. Po prawej i po lewej stronie sceny mur tytułowym kirem spowity. Pośrodku wybita w ziemię ułańska (?) szabla. W głębi podest z jakimiś resztkami salonu, wymownie ubogaczonymi harfa-lira, bez której w Polsce żadna poważna drama polityczna, jak powszechnie wiadomo, obejść się nie może. W głębi akcent tajemniczo-symboliczno-monumentalny: strebrzysty pusty witraż-okno, co pewien czas zmieniający się w ceglata ścianę muru. Ponuro i wzniosłe. Na podestu po lewej (od strony widowni) towarzystwo wojskowe, zszarzałe, ospałe, w gestach napoleońskich zastępujące nad wyraz chętnie. Towarzystwo po prawej najwyraźniej poetyczne: uwielbia teatr i muzykę. Śpiewa i deklamuje aż do znudzenia publiczności. Lubi szczególnie rzucić jej prosto w oczy szyderczą tyradę i odwrócić się tyłem, gestem wyrafinowanej zadumy i oburzenia. Młodzi rozmawiają o sławie, starzy zaś napoleońscy o ambicjach i stanowiskach. Ale w salonie dzieją się rzeczy o wiele bardziej interesujące niż pospolite rozmowy o zawodzonych ambicjach. Salon wydany jest na pastwę złych sił natury – zasypywany śniegiem, który majestatycznie i symbolicznie opada na toalety pięknych pań. Łatwo domyślić się, że to śnieg – szron historii, śnieg – całun tradycji inscenizacyjnej. Wszak Wyspiański artysta teatru był i jego *Warszawianka* cała z czerni i bieli... W salonie krzątają się dwie panie i sprawiedliwie dzielą między siebie aktorskie zadania. Jedna jest polską oszalałą Kasandrą,

a druga zidiociałym, promiennym dziewczęciem polskim. Gdy ta pierwsza delektuje się kłęką, wszystko widzi i rozumie, pierwszą przeży bohaterko, to ta druga, psychicznie mniej wytrzymała lub po prostu niefrasobliwa, chichotem radosym nad żalobnymi wieściami wybucha. Śmieszka śmiejącą szczególnie wieści o zejściach śmiertelnych.

Towarzystwo teatralne czasem śpiewa ospałe. Melodia znana, ale słów pojąć nie można, bo pieśń podnieca do strasznego wrzasku personę w płaszczu wojskowym, tytułowym. Człek ów, Generałem zwany, (Piotr Różański) zdaje się szczególnie nie lubić wystąpienia operowych młodych ludzi, więc przebija je, nie bez trudności, gniewnymi tyradami, skierowanymi pod adresem całego świata, czyli Polski... To komediant urodzony, choć nadużywa sarkazmu i ironii; nie jest zbyt przekonujący... Zrozumieć jego pretensje trudno, bo gra dla dwóch publiczności, tej na scenie Teatru „Bagatela” i tej „w krzesłach”. Może nawet gra – igra z dwiema widowniami? Rozważyć tej kwestii głęboko nie możemy, bo oto uwagę naszą pochłania nowa przeszkoda. Generała przesładowuje jakiś młodzieniec – widmo w bliźniaczym szynelu. Słowa jego wypowiada! Ten młodszy udaje, że w jakowej sceny i dramaty wdał się z pannami i młodzieńcami, ten starszy gniewliwie monologu mu odbiera, perorując za niego. Rzecz jest bardzo skomplikowana, tak skomplikowana, że światła drżą, muzyka pojękuje oderwanymi akordami pieśni z r. 1831, towarzystwo Napoleońców to wyłania się, to ginie w ciemnościach, sylwetki panienek raz wyraziście się stają i konkretne, raz jako fantomami są zmęczonej wyobraźni. Po którymś tam mrugnięciu ze sceny, po którymś tam muzycznym akcentcie zaczynamy rozumieć coś z wielką biedą. Oto Generał w przydługim szynelu przeszłość z mroków niepamięci wywołuje, z pamięcią swoją gada, dyskutuje, a ten młodszy natręt, co o monologii się z nim sprzecza, to on sam sprzed lat, on grzeszny, on odpowiedzialny za zło „na

górze”, on młodych krytykujący, ale także ich szaleństwem i błędem winny.

Sledzę tedy ten monodram, tę narodową spowiedź i współczuję artystom, które mówiąc do Młodzieńca w istocie z Dojrzałym chcą i muszą rozmawiać. Współczuję Artystyce, który niby do siebie mówi, a na kwestie z teatru-salonu odpowiada. Więc szukając własnej tożsamości, najwzruszającej gubi się, miesza, wpada we wściekłość i krzyczy bez żenady, aby innych przekrzyknąć. Jest panem tego teatru, oba „towarzystwa” to tylko kukielki. Lecz grać dramata z kukłami trudno, więc bohater nie tylko ironizuje, lecz przedrzeźnia, moralizuje. Zamiat sobie wymierzając sprawiedliwość, wymierza sprawiedliwość temu okaleczonemu, bezsilnemu światu. Po co się tak pastwi – trudno dociec. Sugeruje, że w piekle się znalazł. I nawet duchy migoczą na chwilę w oknach: Stary Wiarus, Kazimierz Wielki, a może i sam Bóg Ojciec kreską Wyspiańskiego naszkicowany. Trudno się w ciemnościach rozeznać. To pewne, że widmo witrażowe mobilizuje Generała do jeszcze ostrzejszych ataków na teatr duszy własnej i teatr polskich gestów. Spod warstwy udawania da się wydobyc jakiś ułamek prawdy o wiecznych polskich kłótniach, ambicjach, w których marnieje życie młodego pokolenia... „Dusza” tej białej, poważniejszej panielki schodzi z salonowych podestów na pobojowisko i „zamarza”, kostnieje. Jakiś teatralny szaleniec deklaruje wbrew rozsądkowi miłość do bohaterских gestów, więc reżyser usuwa go ze sceny pogładowo i symbolicznie, każąc mu zapadać się w „otchłanie” zapadni. Już, już zmierzamy do tragedii niepotrzebnej, kędy nagle, z mocą, pada stwierdzenie najważniejsze – oto dziś „szczęśliwsze mamy czasy”. Zrywają się brawa, uwolnieni przynajmniej od teatru iść możemy do domu, aby przetrwać ten kielich narodowej goryczy.

Pod drodze do domu kupuję chleb i masło, co w przeszłości, że dożyłam szczęśliwszych dni, utwierdza mnie skuteczniej niż inscenizacyjne figle i sztuczki. Sądzę,

że działwa po obejrzeniu dzieła w Teatrze „Bagatela” w słusznej pogardzie mieć będzie narodową dramaturgię: statyczną, melodramatyczną i pretensjonalną. Wyobrażenie o romantycznym i neoromantycznym dramacie jako o zbiorze łatwych aluzji politycznych na każdą okazję zostało dzięki tej inscenizacji pogłębione. Licealiści chętnie nauczą się, że Wyspiański marnym dramaturgiem był, ale wielkim i prężnym patriotą, który szargał świętości. Może będą mieli kłopoty z wyjaśnieniem Maeterlinckowskich powinowactw, ale kogo dziś interesuje dramat modernistycznych przeczuc? Tylko polonistów-aptekarzy. Los i fatum lepiej zmienić na aluzję i wyborczą aktualność. Zwłaszcza że metafora murów powstańców mówi, jak bardzo realizatorzy starali się pokazać „wieczny polski dramat”. Tak bardzo, że im się podręczniki do historii pomyliły. Trochę inaczej teraz o Powstaniu Warszawskim uczą w szkole.

Sadystycznie dedykuję to przedstawienie tym krakowskim widzom, co jeszcze wierzą, że krakowski teatr nie przeszedł nigdy infekcji taniej polityczności, pseudonowoczesności, która aktorom przeszkadza grać, widzowi myśleć, a reżyserom odbiera poczucie smaku i interpretacyjny rozsądek. Niszczenie złych tekstów bezmyślną inscenizacją jest pracą równie bezsensowną jak szarganie arcydzieł. Zwłaszcza gdy się ten proceder uprawia pod pretekstem nowego odczytania lektur szkolnych. Teatr „Bagatela” nie zmarnował jednak jednej niepowtarzalnej szansy: wprowadził młodzież do muzeum teatralnej nowoczesności, bezbłędnie sparodiował stylizację inscenizacji lat 60. i 70. Można zobaczyć, jak wyglądały spektakle Skuszanki i Hanuszkiewicz. „Późnej” Skuszanki i dojrzałego Hanuszkiewicz. Można poodychać atmosferą premiery w starej Warszawie. To też coś warte.

Teatr „Bagatela”: Stanisław Wyspiański, *Warszawianka. Pieśń z roku 1831*. Reżyseria i scenografia: Stanisław Nosowicz; muzyka: Janusz Butrym. Premiera: 19 października 1991 r.

Byt i niebyt w „Literackiej Galicji”

(C.D. ze str. 2)

skim oddziale SPP byłem poniekąd promotorem (ale przecież nie belfrem i nie „politrukiem”) całego indywidualnego przedsięwzięcia moich młodych podopiecznych i przyjaciół (denuncjuję niniejszym sam siebie). Więc ma błędy. I co z tego? Należy je wytknąć i merytorycznie przedyskutować. Dla mnie na przykład jest trapiące, jak młodzi ode mnie o ćwierć wieku ludzie widzą to, w czym ja od ćwierć wieku tkwię i z czym się inercyjnie żyłem; to właśnie, jak oni „się mylą”,

jak (może i niesprawiedliwie, ale po swojemu) przekształcają oczywiste dla mnie hierarchie.

Długa sprawa jest znacznie ważniejsza. Otóż ci chłopcy, urodzeni tuż przed 68 rokiem, napisali ową książkę nie tylko na „społeczne zamówienie”. Napisali ją także z osobistych pobudek i niepokojów. Chcieli zrozumieć coś, co wydawało im się czystym absurdem. Chcieli sobie odpowiedzieć na dręczące ich (i całe ich pokolenie) pytanie (które dla pokolenia mojego i zapewne także Pana el. stanowi oczywistość): jak to się stało,

że tylu artystów zaakceptowało komunizm i jeśli go nawet aktywnie nie budowało, to przecież tolerowało spokojnie przez dziesięciolecie? A więc np. konkretnie: dlaczego w Krakowie tylu porządnych ludzi i dobrych pisarzy znajdowało się tak długo w najściślejszej ekipie Machejka i jemu podobnych „aparaczyków”? I jak to się stało, że równocześnie istniała – bo istniała jednak, i to publicznie – garść ludzi, którzy w najbliższym sąsiedztwie „aparaczykowskiej” redakcji „Życia Literackiego” (na tej samej ulicy Wiślniej, należącej ponadto do tego samego – także zdominowanego przez ekipę Machejka – ZLP) wiodli żywot godny, niezależny, bezkompromisowy; i mimo wszystko udalo im się przetrwać? A zatem: czy kompromisy „porządnych” były koniecznością? Czy słabością? O to przecież wszystkich „uwzględnionych” pytali ci chłopcy w wywiadach.

Nie da się na te pytania odpowiedzieć, dekretując, że Machejka (Polewki lub Hołuja) nigdy w literaturze nie było, jak to właśnie jawnie czyni Pan el. Machejek był. W literaturze. Był. Daję słowo. Ja sam debiutowałem w jego redakcji. Nie potrafię więc oprzeć się wrażeniu, że Pan el. przynosi do budowanej w wolnej Polsce historii literatury najczystsze metody cenzury PRL, tyle że inaczej ukierunkowane.

W przeciwnieństwie do mnie (i, jak śmiem domniemywać, także do Pana el.), Michajłow i Paclawski nigdy w życiu Polewki, Hołuja i Machejka na oczy nie widzieli (Machejka Michajłow zobaczył dopiero w trakcie wywiadu). Nie przeczytali nigdy żadnej z ich książek. Dla nich i ich pokolenia były to wyłącznie byty onomastyczne. Skąd zatem mogli się dowiedzieć, że tacy istnieli i że byli to właśnie pisarze? – Powiem Panu el., skąd. Zdra-

dzę tę tajemnicę zupełnie bezinteresownie. Na przykład w najobszerniejszym kompendium literatury współczesnej z 1974 roku (Michajłow miał wówczas 7 lat) Machejkowi poświęcone zostały przeszło dwie strony druku, podczas gdy Stefanowi Otwińskiemu, o którego się Pan el. upomina, tylko jedna strona. W *Małym słowniku pisarzy polskich, część II* („Wiedza Powszechna” 1981) Machejek ma dokładnie tyle miejsca, co („nie uwzględniona”) Marian Promiński oraz („uwzględniona”) Hanna Malewska, dwa razy zaś więcej niż Leszek Elektorowicz.

Nie spozstrzegłem, aby Pan el. lub ktokolwiek inny uczynił choćby tylko tym wymienionym pozycjom publiczny zarzut, że obok pisarzy uwzględniają „aparaczyków”.

Jakkolwiek się rzeczy mają, nie jest receptą na oczyszczenie literatury ze wstydlivych „zaszłości” – przemilczanie i skazywanie na pozorny niebyt tego, co było. Było. I było – musiało być – naszym udziałem. A także zadaniem. Różnie przez różnych swymi czasy rozwiązywanym. O tym właśnie mówiłem godzinami z Adamem Michajłowem, a efekty tych rozmów zebrał on w tekście (sygnowanym moim nazwiskiem) zatytułowanym przez siebie „The great silence of the black hole” („Wielkie milczenie czarnej dziury”), na który zresztą Pan el. (za radą Pana hm.) rączy się (skądinąd wcale nie polemicznie) powoływać.

A skoro ten tekst – mimo licznych jego ulomności – wydaje mi się w jakimś stopniu przekonujący i uczciwy, to pozwolę sobie w załączeniu zadedykować mu aforyzm będący odwróconą parafrazą słynnej „brzytwy Ockhama”: Nie twórzmy niebytu ponad potrzebę.

Stanisław Balbus

KONKURS im. MARII MAGDALENY MORAWSKIEJ NA ERULION POETYCKI TRWA

JEDNA BARDZO WYSOKA NAGRODA
(dziś na koncie konkursu równowartość ponad 6 mln. zł;
najprawdopodobniej suma ta wzrośnie dwu-, trzykrotnie)

W konkursie uczestniczyć mogą debiutanci (po debiucie prasowym) oraz autorzy jednej książki poetyckiej, którzy nie ukończyli 30. roku życia.

Prosimy:

1. debiutantów o nadsyłanie zestawów wierszy – publikowanych i nie publikowanych – o maksymalnej objętości jednego arkusza autorskiego (22 strony maszynopisu) w czterech kopiach;

2. autorów książki poetyckiej o nadsyłanie oprócz zestawów wierszy – egzemplarza tomiku i trzech jego kserokopii.

Wiersze wraz z notką biograficzną i wykazem publikacji prosimy nadsyłać do dnia 1 stycznia 1992 roku. Wyniki ogłoszone zostaną wiosną 1992 roku.

W konkursie mogą również wziąć udział uczestnicy poprzedniej jego edycji.

Laureatem pierwszej edycji konkursu (154 uczestników) został w 1990 roku MARCIN ŚWIETLIKI.

W jury konkursu zasiadali: Wisława SZYMBORSKA, Jarosław Marek RYMKIEWICZ oraz Marian STALA.

Adres: brulion poetycki, Kraków 61, skr. pocz. 325.

Świat wyobraźni

Marta Wyka

Używamy przeróżnych podstępów, aby dostać się do jego intymnego wnętrza; chcemy zobaczyć, jak funkcjonuje, czym się żywi, co powoduje, że akceptujemy jego twory, choć nie wiemy na dobrą sprawę, skąd się wzięły. Opisujemy zatem symbole, alegorie, metafory, strumienie świadomości, nadrealne fabuły, wciąż skrepowani jednym nadrzędnym czynnikiem: po prostu rzeczywistością. Inaczej jeszcze mówiąc: umysł nasz jest realistyczny, prawdopodobny, logiczny i konsekwentny. Albo też za taki się uważa i chciałby te swoje cechy narzucić literaturze. Ale wyobraźnia jest jak sen, nad którym nie mamy żadnej władzy. I jak sen ogarnia ona przestrzenie dzieła literackiego, kpiąc sobie z logiki przebudzenia, z obowiązków obserwacji, z nudy katalogowania prawdziwych (czyli prawdopodobnych) wydarzeń.

Myslałam o tym, patrząc na jesienną, pogodną i odprężoną Pragę. Jak w tym mieście mogło powstać dzieło Kafki? Rozumiem — albo tak mi się wydaje — iż dobrze do takiego miasta przystaje świat powieści Kundery. I w nim mieszają się style, godząc się jakby na wzajemne przenikanie, i w nim jest coś z beztrojski i wesolej cielesności, nawet w chwilach, które, historycznie na sprawę spoglądając, dalekie były od lekkiego nastroju.

Ale Kafka? Czy zmierzając do któregoś ze swoich kolejnych biur, nie rozglądał się wokół siebie, wpatrzony tylko w płaszczyzną chodnika, w kostkę placu, w szarość fundamentów? Dlaczego barokowe chmury nad mostem Karola nie uskrzydlały jego wyobraźni? Czy rozlewiła rzeka i jej wysypki nie mogły żadną miarą wydać mu się optymistyczne? W ogóle ich nie widział? Wnętrza kościołów były dla niego przedmiotami i salami sądów, widowiskami procesów. Przemia-

ny odbywały się na obszarach czystej fikcji, wyobraźnia była więzieniem, przymusem i wrogiem rzeczywistości.

Ulica Paryska, która prowadzi ku dawnej dzielnicy żydowskiej, w stronę synagogi, to rozkoszny skrót, to faktycznie kwintesencja wielu ulic Paryża. Jej nazwa wydaje się absolutnie oczywista, ale dostarcza ona Paryża w ludzkim wymiarze. Nie jest ani tak długa jak ulice Paryża, ani tak rozległa, ani tak męcząca. Atakuje łagodnie — secesyjnymi domami, które rozweselają swoimi frontonami, gankami w festony balustrad, zdobionymi oknami. Ulica Paryska jest jak tort, słodka, lukrowana i oznaczona stosownymi napisami. Napis żydowski wydaje się być wtopiony w nią sposobem zupełnie naturalnym. Może kiedyś była ona bardziej stanowcza, mniej smakowita?

Wielostylowa Praga stała się naturalnym tłem dzieła tak wybitnie monolitycznego jak dzieło Kafki. Czy należy z tego faktu wysnuwać wnioski daleko idące? Chyba nie, bo ten wniosek przecież istnieje. Niepodległość świata wyobraźni to temat, który wprawia nas zawsze w zdumienie. Nas — czytelników, oglądaczy, słuchaczy, konsumentów sztuki. Ale są takie chwile, gdy suwerenność świata wyobraźni nagle wydaje się czymś szczególnym, uderzającym, pobudzającym do gwałtownej refleksji. Nie udało mi się zobaczyć Józefa K. na ulicach Pragi. Ten, który go wymyślił, wydawał się cieniem, zarysem tylko, kimś, kto stał odwrócony plecami.

Co prawda jego twarz spoglądała z wielkiego afłaza rozpiętego pomiędzy dwiema stronami ulicy Paryskiej. Była to twarz zupełnie samoistna i zdecydowanie wyobcowana z pełnego wdzięku otoczenia. Franz Kafka wymyślał swoją kolejką, niesamowitą osobieść jak zawsze samotny, inny, obcy.

VARIA

Amerykański poeta w Krakowie

Niedawno przebywał w Polsce, w tym i w Krakowie, znany poeta amerykański WILLIAM STAFFORD. Jest on autorem wielu tomów poezji, a także prozy, laureatem prestiżowej nagrody National Book Award. Jak wielu poetów amerykańskich wyklada on na uczelniach, będąc również konsultantem poezji w Bibliotece Kongresu.

W twórczości swej i wypowiedziach teoretycznych jest Stafford zwolennikiem popularnej w Stanach wśród poetów, szczególnie na Środkowym Zachodzie — z którego pochodzi i gdzie zamieszkuje — poezji opisu, obrazu, krótkiej anegdoty. Jest to post-imagistowska, post-Williamsowska poezja, którą w latach 60. i 70. próbował zdystansować nurt konfesyjny, ze sporym powodzeniem. Dzisiejszy okres poezji amerykańskiej jest naznaczony eklektyzmem ze współistnieniami przymieszka-

wizowanego opisu, refleksji, retoryki powszedniości, postępującej się na ogół potoczny, co nie zawsze znaczy prostym, językiem.

Warto przytoczyć niektóre sformułowania teoretyczne Stafforda, będące tyleż wskazówkami dla adeptów poezji, co i samookreśleniem się poety.

„A więc — jak zachować powagę, emocje, żyć prawdziwym życiem — i nie popaść w sentymentalizm? W jaki sposób wprowadzić nasze najżarliwsze uczucia do salona naszych czytelników, nie tracąc przy tym stanowczości, rzetelności, daru przekonywania i dostarczając satysfakcji? Po pierwsze, możemy pamiętać typowe ostrzeżenia: „Pokaż mi, a nie opowiadaj”, „Unikaj clichés”. „Umieść w wierszu obraz i wrażenia zmysłowe”. „Nie mów po prostu — miłość, piękno, serce i ty (...).” Ale to — zdaniem poety — nie wszystko. Można w poezji wyrazić żarliwą nawet uczuciowość, ale bez narzucania swych emocji czytelnikowi. Należy postawić sobie pytanie, dlaczego ta emocja zaistniała w tak żywym odczuciu poety, czy towarzy-

zyła jej jakaś scena, jakiś dźwięk, jakieś zdarzenie. „Czytelnik musi stanąć wobec dowodów, a nie tylko twego pragnienia emocji.”

Nie należy też, jak sądzi Stafford, stawiać sobie z góry zbyt wysokich standardów: „pozytywnych wartości”, „społecznej doniosłości”, „konsekwencji” itp. „Pomijam je świadomie” — wyznaje poeta. — „Bo dzieje się coś lepszego, większego (...) Tworzę coś nowego, coś co dotąd nigdy nie było oceniane. W przyszłości inni ludzie — może ja sam — dokonają oceny. Teraz jednak zmierzam do odkrycia. Każda przeszkoda może naruszyć proces kreacji. (...) Muszę być posłuszny moim słabym, wędrującym, nieśmiałym impulsom”

Z okazji pobytu poety w Polsce Ambasada Amerykańska w Warszawie wydała piękny zeszyt (*) zawierający kilkanaście wierszy Stafforda oraz dwa krótkie szkice (z których zacytujemy powyższe cytaty). Jako tłumacze figurują: Ludmiła Mariańska, Andrzej Szuba i Ewa R. Nowakowska.

(el)

*) William Stafford. Contemporary American Poet. Visit to Poland, Fall 1991. A program of the United States Information Service, American Embassy, Warsaw.

DEKADA LITERACKA — dwutygodnik kulturalny. Wydawca: Wydawnictwo „Gazeta Krakowska”. Spółka z o.o. Adres: 31-072 Kraków, ul. Wielopole 1, IV piętro. Redaguje zespół: Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski (sekretarz), Jerzy Lohman, Włodzimierz Maciąg, Jan Prokop, Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska (redaktor odpowiedzialny), Teresa Walas, Marta Wyka. Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Wacław Iwaniuk (Toronto, Kanada), Stanisław Lem, Leszek A. Moczulski, Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Marek Rostworowski, Jan Józef Szczepański, Wisława Szymborska, Lucyna Walas — redaktor techniczny.

Dyżur redakcji: poniedziałki, środy, godz. 13—14, tel. 22-09-85. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo do skró-
tów. 0867—4094

TEATRZYK RYSUNKOWY



HYDE PARK czytelników

Dzisiaj prezentujemy jeden z wierszy nadesłanych przez WITOLDA KOWEŁA z Krakowa, poetę, który debiutował w prasie w roku 1978, a pisuje również słuchowiska, sztuki teatralne i scenariusze filmowe. Wiersz pochodzi z tomiku pt. Obrót planety, który — według zapewnienia autora — winien się ukazać drukiem w roku przyszłym.

ROK 1914

Zwielokrotnionym wydźwiękiem siedmiu strzałów w Sarajewie kolejny raz rozbrzmiewa głos Wielkiej Historii i przemija la belle époque fin de siècle

Nim śmierć zabierze cesarza Franciszka Józefa Habsburga i nastąpi upadek caratu a w wyniku przemian Europy złączy się podzielony kraj

Z Krakowa wyrusza pierwsza kompania kadrowa strzelców i powstałe Polskie Legiony idą w bój torując drogę do snów niepodległej Ojczyzny

Dziewięć wiecher szarpie politycznych płaszczy i echo narodowych powstań unosi się w pieśni walczących szeregow

Galicję w jesiennej aurze wnet nawiedzi śnieżna zima i zakończy się rok wybuchu pierwszej światowej wojny

Camera Obscura

Telewizja Polska używa nazwy „Sankt-Petersburg”. Nie robiono tego nigdy w literaturze i prasie ani rosyjskiej, ani polskiej, gdy nazwa ta przed r. 1914 obowiązywała. Skąd teraz ta nabożna skrupulatność? Notabene — skrupulatność niezbyt skrupulatna; bo jeśli już, to powinno być „Sankt-Peterburg” (bez łączącego s). (hm)

*

W książce Andrzeja Żulawskiego „Lity bór” postacie o autentycznych nazwiskach i autentyczne fakty przemieszane są z ostentacyjną fikcją — to oczywiście dobre prawo pisarza. Ale zarazem „w tle” pojawia się mnóstwo przeinaczonych historii, których celowości nie sposób się dopatrzeć. Oto niepełna ich lista: Bohater „Przedwiośnia” nie nazywał się Stefan Baryka (s. 21 i wielokrotnie), lecz Cezary; „Przedwiośnie” nie zostało wydane po wojnie „z dużym opóźnieniem” (s. 22), przeciwnie — było jedną z pierwszych powieści wznowionych po roku 1945. — Nie można też mówić o żadnym „opóźnieniu” w związku z „Dziennikami” Żeromskiego (s. 28). — Rosjanie nie mogli nikogo w r. 1893 wieszać w Limanowej (s. 58), ponieważ Limanowa znajdowała się w zaborze austriackim. — Celina Bobińska nie jest pisarką (s. 66), lecz historykiem, pisarką była jej matka Helena. Nie ona zresztą napisała książkę „Dom odzyskanego dzieciństwa”, lecz Marian Brandys. — Stanowisko prezydenta zniesiono w PRL nie po śmierci Bieruta (s. 126), lecz już z uchwaleniem nowej konstytucji w r. 1952. — Nic nie wiadomo o tym, jakoby Bolesław Piasecki rozmawiał ze Stalinem w r. 1945 (s. 142). — We Lwowie mieściło się przed wojną całe Ossolineum, a nie jego „oddział” (s. 157) czy „filia” (269). — Fałszywe jest zdanie, że „świat nie doczekał się drugiego tomu „Zaoranego ugoru” (s. 164), ukazał się on w roku 1960. — Aleksander Fudiejew nie pisał „krwawych, biologicznych, strasznych książek” (s. 164); po wojnie wydał tylko „Młodą Gwardię”, absolutnie nie podpadającą pod te określenia. — Brat Jerzego Borejszy, a więc Józef Różański nie był ministrem spraw wewnętrznych (s. 164), lecz tylko dyrektorem departamentu śledczego w tym ministerstwie. — „Czerwony Sztandar” nie jest „piosenką komunistyczną” (s. 252), lecz pieśnią rewolucyjną, pochodzącą jeszcze z roku 1882. — Zona Jarosława Iwaszkiewicza, Anna Lilpopówna, nie była „bogata z domu Żydówka” (s. 250). — W Katyniu zginęło ok. 4500, a nie „kilkanaście tysięcy” polskich oficerów (s. 262). Można zapytać: No i co to szkodzi? Ale można też zapytać: Po co to wszystko? (hm)